

TATERNIK

4
1997



Spis treści

Diabelski rollercoaster	1
Kierunki rozwoju nurkowania jaskiniowego Cassis '97	3
Trudna skała	6
Staż ratownictwa jaskiniowego	10
Tatry – klątwa Wyspiańskiego	13
Raki	23
Zimowe laboratorium	26
Nieznana cecha węzła taśmowego	28
Nowe drogi	30
„Zmowa milczenia”	32
Jaskinie i speleologia	33
Z Tatr i Zakopanego	36

Zdjęcie na okładce: Bohdan Kowalczyk
wspina się na Toou Roud.

Fot. K. Liszewski

Zdjęcie obok: Eric Kohl prowadzi wyciąg
hakowy – patrz artykuł na str. 6.

ISSN 01373155



Ryszard Pawłowski

DIABELSKI ROLLERCOASTER



Czy byliście w wesołym miasteczku, którego główną atrakcją jest pojazd zjeżdżający z olbrzymią prędkością po fantazyjnie wyprofilowanym torze, wypełniony krzyczącymi z radości lub strachu ludźmi? Ja nie byłem, ale to, co przeżyłem, mimo że moja jazda była pędem w stronę śmierci, mogło przypominać...

Czas i miejsce:

3 listopada, godzina 15²⁰. Pumori (rejon Everestu).

Wysokość:

Od obozu I (5800 m) do podstawy ściany (5450 m).

Uczestnicy:

Jacek Masełko – mimowolny sprawca „jazdy bez trzymanki”, niemy obserwator, ratownik.

Ryszard Pawłowski – mimowolny pasażer.

Wąski, może 3-metrowy skalny kular, podcięty kilkumetrowym progiem skalnym, łączący się z głównym kulaarem spadającym od wierzchołka Pumori aż do wylotu doliny, wypełniony 2-metrową warstwą stromego śniegu.

Próbuję przetrawersować go, aby osiągnąć znajdujących się w odległości 50 metrów lin poręczowych ubezpieczających drogę do obozu II. Stojący powyżej mnie Jacek robi trawers w przeciwnym kierunku. To, co w następnej chwili usłyszałem, było głośnym młasińciem albo raczej stęknieniem. W sekundę później cała powierzchnia, na której stałem, nagle jakby ożyła i ruszyła w dół. Początkowo wydawało mi się, że będę w stanie

kontrolować to, co się dzieje, ale szybko zrozumiałem, że jestem w błędzie.

Pierwszy kilkumetrowy lot, pierwsze uderzenie i narastające przerażenie. Desperacka próba ratowania się. Wszystko na nic. Pode mną strome i gładkie, wyszlifowane przez tysiąclecia płyty skalne, przykryte warstwą cukrowatego, słabo związanego śniegu.

Mój upadek powoduje następną lawinę. Spadam zdając sobie sprawę, że nie mam żadnego szans. Znów wybicie, obrót w powietrzu i uderzenie. Pierwszy ból. Ponowny obrót i jak mi się wydaje nieskończenie długi lot. Uderzenie głową, nogami. Pęd narasta. Do gardła i płuc wdiera się śnieg. W ułamku sekundy dostrzegam zwężający się gwałtownie kular, a w oddali dno doliny. Jak trudno pogodzić się z myślą, że zbliża się mój koniec. Jeszcze próbuję osłaniać twarz i głowę, kurczę się i zwijam, ale nic nie jest w stanie wyhamować tego pędu, któremu zaczynam się w końcu poddawać.

Znów tępe uderzenie głową, całym ciałem, wirowanie, obracanie. Nie czuję już bólu. Zaczynam objąć się rytmicznie o skały. Ogarnia mnie uczucie rezygnacji. Chyba już pogodziłem się z tym, co stanie się za chwilę. Śmiertelna zabawa – diabelski rollercoaster zbliża się do finału. Czuję jak potężna siła wybija mnie w powietrze. Długi, swobodny lot nie może się skończyć inaczej. Zaraz roztrzaskam się o skały. Czy będę czuł ból? Nie mam już żadnej nadziei. Zamykam oczy.

Miękkie uderzenie. Prawie bezgłośnie plaśnięcie i cisza. Nie spadam, nie czuję bólu. Otwieram oczy i krztuszę się. Leżę wbity w stożek śniegu u podstawy kuluaru. Wokół ślady krwi. Poruszam ostrożnie głową, rękami, nogami i siadam. O Boże! Żyję!!! To nie jest sen.

Spoglądam w dół, kilkaset metrów w głąb doliny. Z góry zaczynają spadać odtamki skał. Jak najszybciej muszę się stąd odczołgać. Choć strach każe mi wpijać się palcami w zbawczy śnieg, wiem że zaraz może ruszyć następna lawina.

Trudno mi określić mój stan. Jeszcze przed chwilą czułem zbliżającą się śmierć, a teraz leżę chyba bez szwanku nie licząc stróżki krwi ściekającej po twarzy i odartych ze skóry łokci.

Grzebię się w śniegu i jednocześnie podsumowuję straty. Złamany rak, zgubiony czekan, okulary i rozbita głowa. Żyjesz chłopie!!!

Kurwaaa żyyyyyjesz!!!

Eksplozja radości i nagle myśl: co z Jackiem? Przecież to on...

O Jezu! Jacek!!!

Próbuję podejść zmrożonym śniegiem do wylotu kuluaru. Złamany rak, gołe, poranione ręce, obolałe ciało i pionowy kilkudziesięciometrowy uskock skałny. Nie mam żadnych szans. Zawracam. Zsuwam się teraz po śniegu do łatwiejszego, mniej niebezpiecznego miejsca. Co z Jackiem?

Krzyczę: Jacek!!! Z góry nie słyszę jednak odpowiedzi. Nastawiam się na najgorsze. Może leży gdzieś w czeluściach komina przykryty śniegiem? Jak mu pomóc? Boże, tylko nie to...

Zsuwam się w głąb doliny używając ostrego kamienia jako czakana. Mój wspianiały Black Diamond przepadł podczas upadku. Jak śmiesznie, a zarazem rozpaczliwie muszę wyglądać. Niczym ranne zwierzę.

Nadal nie wiem jaki jest los Jacka. Sporo czasu minęło już od chwili zejścia lawiny. Muszę jak najszybciej sprowadzić pomoc. Do bazy nie dotrę wcześniej niż za dwie godziny. Czeka mnie jeszcze długi tawers po stromym złodzonym śniegu. Bez raków i czekana to znów igranie ze śmiercią.

Nagle, wysoko na tle nieba pojawia się chuda sylwetka Jacka i dobiega do mnie radosne wołanie:

– Rysiu, żyjesz?! Nic ci nie jest?!

A zaraz potem:

– Za chwilę tam będę, mam apteczkę. Co jest potrzebne?

– Jacku mam poranione ręce i rozbitą głowę... czyli wszystko O.K. Przynies zapasowe raki i czekan!

– Rysiu, czy wezwać helikopter albo pomoc?

– Nie! Damy sobie radę!

Znika za załomem, żeby zejść łatwiejszą drogą, a ja kładę się za olbrzymim kamieniem, spokojny i szczęśliwy, że obaj żyjemy, że nie muszę się już czołgać z kamieniem w dłoni, że Jacek wkrótce tu będzie. Uśmiecham się do siebie i do swojego Przenaczenia.

W bazie Amerykanin Jim opatruje moje rany. Dopiero jutro podejmiemy decyzję w sprawie dalszych losów wyprawy. Ja właściwie już teraz zdecydowałem, myśląc w tej chwili nie tylko o sobie.

Czy się boję? Być może. Jednak jestem pewien, że za niespełna miesiąc znowu będę w górach.

* * *

– Pamiętasz, jak to się stało? – pytam Jacka.

– Jeśli tak, to napisz. Porównamy nasze wersje.

Ociągał się, ale napisał...

To, co widział Jacek

Śnieg pęka nade mną i zaczynam się zsuwać. Nawet nie mogę ostrzec Ryśka, który jest dwa metry niżej. Desperacko walczę z usuwającym się spod nóg śniegiem i po kilku metrach udaje mi się uchwycić jakieś wystające skałki. Zatrzymuję się tuż przed 5-metrowym progiem. Stoję teraz w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą był Rysiek. Nigdzie go nie dostrzegam. Rozglądam się z przerażeniem. Obserwuję jak lawina przelewa się przez próg skałny. I nagle jakieś 300 metrów niżej widzę partnera, który spada w dół ze śniegiem. Wygląda przez moment jak dziecko na zjeżdżalni. W chwilę potem tracę go z oczu.

Nie chcę mi się uwierzyć w to, co się stało! 400 metrów niżej zginął mój partner i przyjaciel. Moje ruchy stają się automatyczne. Nie myślę o tym, co robię. Przecież nie mogło mu się nic stać – wma-wiam sobie. Nie w takich był tarapatach i wychodził z tego cało.

Zrzucam plecak, biorę tylko apteczkę, drugi czekan i zbiegam w dół kuluaru. W końcu dochodzę do potężnego skalnego progu, gdzie po raz ostatni widziałem Ryśka, i spoglądam w 50-metrową przepaść.

Bez przerwy nawołuję Ryśka. W końcu mi odpowiada. Teraz go też widzę. Schodzi ze śnieżnego stożka. Lekko kuleje, ale wygląda O.K.

Kiedy podchodzę do niego, na „dzień dobry” słyszę:

– To ty, gamoni, spowodowałeś tę lawinę!

Brzmiał to jak wyrzut. Trochę zabolęło, ale i tak nie jest w stanie stłumić olbrzymiej radości, że Rysiek żyje.

KIERUNKI ROZWOJU NURKOWANIA JASKINIOWEGO CASSIS '97

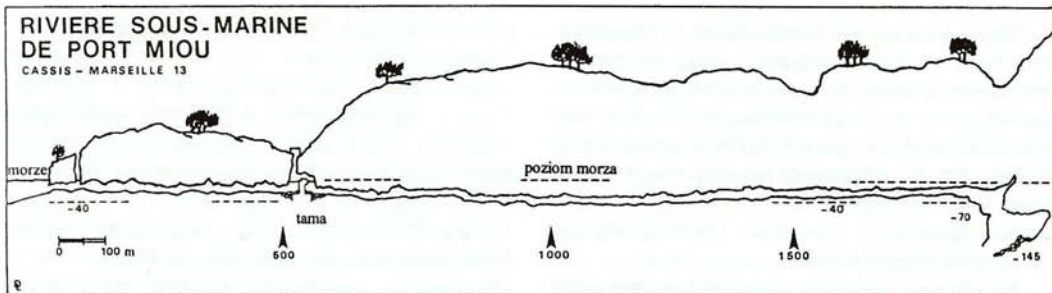


Od połowy lat 90. następuje w Polsce szybki rozwój nurkowania jaskiniowego. W naszym kraju nie ma jednak zbyt dobrych warunków do uprawiania tej dyscypliny. W Tatrach można z trudem doliczyć się kilkunastu miejsc nadających się do zanurzenia. Co gorsza są one trudno dostępne. Prekursorami nurków w jaskiniach byli grotolazi z Krakowa. Jednak dopiero w latach 70. i na początku 80. działalność ta nabrała intensywności za sprawą Speleoklubu Warszawskiego. Do pokonywania zalanych korytarzy używano tej samej techniki, jak przy nurkowaniu na wodach otwartych. Przeprowadzono w ten sposób penetrację w zasadzie wszystkich dostępnych syfonów. W ciągu kilkunastu lat możliwości tej techniki wyczerpały się. Z najistotniejszych eksplorowanych wówczas jaskiń można tu wymienić Kasprową Niżną czy Miętusią. Dalszy rozwój polegający na lepszym przystosowaniu techniki do warunków jaskiniowych był zasadniczo w Polsce niemożliwy. Trudno wyobrazić sobie postęp, jeżeli całe środowisko było w stanie przeprowadzić jedno poważne nurkowanie w ciągu roku. W tej sytuacji na przełomie lat 80. i 90. nastąpiła stagnacja. Dopiero trudności napotymane w eksploracji Syfonu Drzemiącego w Śnieżnej Studni uświadomiły nam konieczność opanowania techniki, z którą mieliśmy kontakt jedynie przez literaturę zagraniczną. W związku z tym w 1995 odbył się pierwszy wyjazd do Francji, gdzie w sposób praktyczny opanowaliśmy standardowe techniki po-

ruszania się w zalanych jaskiniach. Do najistotniejszych zmian należało zastosowanie dwu oddzielnych butli, poręczowanie z kołowrotka, odpowiednie oświetlenie zamocowane na kasku. Ten wyjazd zaowocował poszerzeniem zasięgu eksploracji w naszych syfonach, zwłaszcza w Kasprowej Niżnej, Miętusiej czy Śnieżnej Studni.

Tak samo jak i w całym taternictwie jaskiniowym, nie można oczekiwać, aby na terenie naszego kraju można było osiągnąć w nurkowaniu jaskiniowym wyniki na poziomie czołówki światowej. W chwili obecnej najlepsze zespoły prowadzą eksplorację na głębokości przekraczającej 100 m i w odległości do kilku kilometrów od wejścia. Stąd jedynym kierunkiem dalszego rozwoju jest organizowanie wypraw zagranicznych. Na początku powinny to być wyjazdy sportowe do znanych już obiektów, gdzie można by dopracować umiejętności pozwalające na pokonywanie wspomnianych odległości i głębokości. Może to pozwolić na późniejsze podjęcie eksploracji zarówno w kraju jak i za granicą.

Pierwsza z takich wypraw została zorganizowana przez Sekcję Grotolazów Wrocław. Jej celem była miejscowość Cassis niedaleko od Marsylii. Znajdują się tam dwa potężne wywierzyiska Port Miou i le Bestouan, wyeksplorowane przez Marca Doucheta na długości 3 km. Wyjazd odbył się w terminie 6.08 – 24.08.97, a wzięli w nim udział: Wiktor Bolek – kierownik, Michał Stajszczyk,



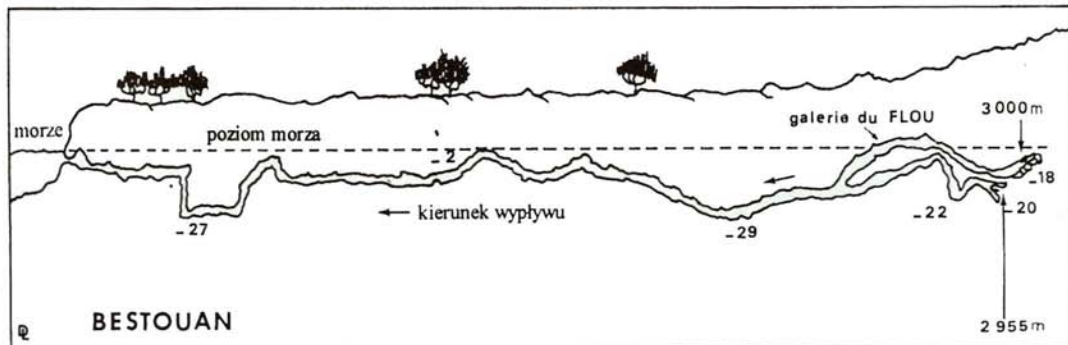
Krzysztof Strama, Norbert Ziober oraz osoby towarzyszące: Beata Bednarska i Aleksandra Strama. Pierwszy rekonesans wykonaliśmy w Port Miou. To podmorskie wywierzysko jest jednym prostym korytarzem o średnicy przeciętnie kilkunastu metrów, który wchodzi pod powierzchnię łądu na odległość 2500 metrów. W odległości ok. 500 m od otworu dochodzi do niego z powierzchni studnia. W tym miejscu Towarzystwo Wodne z Marsylii zbudowało tamę, która miała zapobiegać dostawaniu się słonej wody w głąb systemu. Z tego dodatkowego wejścia korzystał Marc Douchet podczas akcji do końca jaskini. O ile początkowo korytarz biegnie średnio na głębokości 20 m, to na samym końcu przechodzi w studnię schodzącą na -145 m. Zaoszczędzenie 500 m płłynięcia było znacznym ułatwieniem. My jednak nie uzyskaliśmy pozwolenia na wejście z powierzchni i musieliśmy wpływać przez otwór z morza. Podpływając do niego można by odnieść wrażenie, że jest ogromny. Jednak pionowa ściana klifu szybko schodzi w dół zostawiając niewielki ok. 2-metrowy przeswit. Początek jaskini nie był zaporcuchowany. Drogę wskazywały rury, odprowadzające nieczystości w głąb morza. Po 40 metrach dopłynęliśmy do podstawy komina wychodzącego na powierzchnię. Momentami widoczność była bardzo słaba – bynajmniej nie ze względu na zmącenie. Mieszają się tam: słona woda morska i słodka, płynąca jaskinią. W niektórych miejscach były widoczne wyraźne granice pomiędzy ośrodkami o różnej gęstości. Po kilkunastu metrach wszystko wróciło do normy. Widoczność była oszałamiająca – ponad 10 m. Po ok. 150 metrach zużyliśmy 1/3 powietrza i zawróciliśmy.

Podczas kolejnego nurkowania postanowiliśmy dotrzeć do tamy i ocenić trudności przy jej pokonywaniu. Z relacji Marca wynikało, że po przepłynięciu 500 m trzeba będzie zdjąć sprzęt i wspiąć się kilkumetrowym prożkiem. Do realizacji tego celu wzięliśmy największe butle 2 x 15 l. Przepłynięcie znanego odcinka odbyło się bez żadnych problemów. Dalej zaczęły pojawiać się inne, równoległe linki poręczówek. Na szczęście póki co nie krzyżowały się, więc nie było możliwości pomylenia drogi. Po pewnym czasie stało się jednak to, czego obawiałem się najbardziej. Wszystkie linki zbiegały się w jednym koszmarnym węźle. Miało to miejsce ok. 300 m od otworu. Popłynąłem dalej. W pewnym momencie zauważyłem, że poręczówka jest zastabilizowana w niespotykany sposób. Z jednego punktu odchodziło kilka odciągów do ścian, stropu i spągu. Co prawda pozwalało to na utrzymywanie jej w środku korytarza, jednak należało ostrożnie przepłynąć między odciągami. Takie punkty były oznaczone dużymi literami.

Po kilkunastu metrach spojrziałem na manomet-

ry. Wykorzystałem już 1/3 powietrza. Miałem już zawrócić, gdy zauważyłem, że jedna ze ścian jest jakaś sztuczna. To był beton. Popatrzyłem do góry. Nade mną znajdowało się lustro wody. A jednak dopłynąłem do tamy bez użycia depozytów! Na powierzchnię wynurzyłem się w sali o średnicy kilku metrów. W jednym miejscu dostrzegłem możliwość wywspinania się (IV). Aby wejść na tamę, konieczna była druga osoba, która pomagałaby przy zdejmowaniu sprzętu. Po tym stwierdzeniu ruszyłem w drogę powrotną. Dopłynąłem do Koszmarnego Węzła. Wybrałem wcześniej zaznaczoną poręczówkę. Dopłynąłem do miejsca, gdzie została zastabilizowana do pipanta wystającego ze stropu. I tutaj przeżyłem olbrzymi szok. Dalej linka była URWANA!!! Czy możliwe aby przerwała się po moim przepłynięciu? Czy może wybrałem złą poręczówkę, a może zazaczyłem niewłaściwą? Określiłem kierunek do wyjścia za pomocą kompasu. Do ostatniego punktu dowiązałem linkę z mojego kołowrotka. I postanowiłem szukać innych poręczówek w świetle korytarza. Zacząłem zataczać podręcznikowe stożki po ścianach, stropie i spągu. Optynąłem cały obwód. Nie znalazłem właściwej linki. Tylko w jednym miejscu szły obok siebie, częściowo zagrzebane w mule, trzy, może cztery linki. Popłynąłem wzdłuż nich. Od pewnego momentu zacząłem rozpoznawać początkowy fragment jaskini. Po chwili dostrzegłem rury, później światło dnia. Wypłynąłem na zewnątrz i zobaczyłem kolorową roślinność i stada rybek uganiających się między podwodnymi skałami. Dalsze nurkowanie w tych warunkach wymagałoby włożenia znacznego wysiłku w naprawę oporęczowania w okolicach Koszmarnego Węzła. Za pokonywanie tamy można by się brać, mając zapewniony bezstresowy powrót. Jak oceniliśmy Koszmarny Węzeł znajduje się w połowie drogi między otworem a tamą. Jest zatem najtrudniej dostępnym miejscem na tym odcinku i nic dziwnego, że oporęczowanie jest tam w najgorszym stanie.

Z tych względów postanowiliśmy przenieść dalszą działalność do le Bestouan. Otwór jaskini znajduje się w brzegu morza, poniżej poziomu wody, niedaleko plaży o tej samej nazwie. Tak samo jak w Port Miou jest to wywierzysko odprowadzające znaczne ilości słodkiej wody do morza. Korytarz wejściowy jest nieprzyjemny. Ciasny, w przekroju 1 x 1 m, na głębokości 1,5 m. Z całym delikatnym sprzętem trzeba było przeciskać się kilkanaście metrów, na domiar złego widoczność jest tam fatalna ze względu na mieszanie się wody słodkiej i słonej. Odcinek ten kończy się pionową studnią, która sprowadza na głębokość 15 m. Tu zaczyna się właściwy ciąg jaskini. Korytarz ma średnicę



5 – 10 metrów. Średnia głębokość jest większa niż w Port Miou i wynosi 20 m. Na poręczówce nie ma żadnych markerów oznaczających odległość. Tylko od czasu do czasu pojawiają się tabliczki określające miejsca, w których kiedyś zakończono pomiary. W tej jaskini działaliśmy już do końca wyprawy. Bez wykorzystania depozytów udało się dopłynąć 380 m od otworu. Podczas pierwszej akcji z depozytami okazało się, że na 400 metrze jest przerwana poręczówka i musiałem stracić kilka minut na jej naprawienie. W tym miejscu w korytarzu znajduje się pionowa studnia, która sprowadza na głębokość prawie 30 metrów. Dalej korytarz staje się bardzo niski, o dnie pokrytym grząską gliną. Francuzi aby przepłynąć kolejne 2.5 km musieli się tędy przeciskać ze skuterami podwodnymi. Tymczasem ja musiałem już zawrócić. Komputer pokazywał koniec czasu bezkompresyjnego. Na szczęście powrót następował z prądem i szybko znalazłem się w studni wejściowej, gdzie wykonałem 6-minutową dekompresję. Podczas kolejnych nurkowań postanowiliśmy zostawić tu w tym celu specjalną butlę.

Ze względu na ograniczone zasoby sprzętowe najdalsze nurkowanie mogliśmy wykonać jedynie z dwoma depozytami. Podczas ostatniej akcji użyliśmy zestaw podstawowy 2 razy 15 l, i depozyty 8 l i 10 l oraz 8 l na dekompresję, czyli 5 butli. Jednak już przed startem wiedzieliśmy, że nie posuniemy się wiele dalej. Ponieważ zepsuła się nam nasza sprężarka, byliśmy zmuszeni nabijać butle w miejscowym klubie, gdzie wytargowaliśmy znaczną zniżkę. Po ostygnięciu butli okazało się, że jest w nich jedynie po 170 bar zamiast 200 bar. W tym momencie trudno było klócić się, skoro i tak mieliśmy zniżkę. Aby ułatwić całą akcję, 10-l depozyt był zostawiony wcześniej w jaskini przez umyślnego w odległości 120 m od otworu. Ten odcinek można było przepłynąć korzystając z 8-litrowej butli. Dzięki temu ponownie dopłynąłem do zwężenia na 440 metrze. Na szczęście poręczówka w tym miejscu była bardzo dobrze zastabilizowana za pomocą ciężarków. Dalej korytarz wracał do po-

przednich rozmiarów. Zaczynał się wznosić. Tu jednak skończyło mi się powietrze przeznaczone na penetrację. Dopłynąłem tylko do kolejnej tabliczki znajdującej się ok. 480–500 metrów od otworu. Rozpocząłem szybki powrót, gdyż i tak wydłużył mi się czas dekompresji. W trakcie powrotu zabieraliśmy od razu wszystkie butle depozytowe, aby nie trzeba było wykonywać kolejnej akcji retransportowej. Pływanie z dodatkowymi butlami powoduje znacznie większe opory i utrudnia wszelkie manewry. W pewnym momencie nie zrobiłem prawidłowo zakrętu i przepłynąłem zbyt blisko ściany. Zahaczyłem się klamerką płetwy o zastabilizowaną w tym punkcie poręczówkę. Nie mogłem dosięgnąć do stopy ani nie mogłem obrócić się. Szarpnąłem raz, drugi – na szczęście puściło, ale spadł mi pasek od płetwy. Czy będę musiał wracać o jednej płetwie? Jeżeli będę płynął zbyt wolno, to może nie starczyć mi powietrza. W ten sposób zginął dwa lata temu Władimir Kisielow. Udało mi się jednak przymocować płetwę za pomocą gumki zabezpieczającej. Jest to doskonały patent. Nie czułem żadnej różnicy w pracy obydwu płetw. Zrelaksowałem się dopiero w studni wejściowej podczas 15-minutowej dekompresji. Opanowałem się na tyle, że postanowiłem przepłynąć przez wejściowy korytarz od razu ze wszystkimi pięcioma butlami. Początkowo wydawało się to trudne, ale posuwając się centymetr po centymetrze znalazłem się w morzu.

Nurkowanie w jaskiniach w Cassis dało nam bardzo cenne doświadczenia w działaniu w dużych podwodnych systemach. Aby można było pokusić się o pokonywanie jeszcze większych odległości należy dysponować większymi zasobami sprzętu. Zwłaszcza butlami o większej pojemności i dodatkowymi automatami, pozwalającymi wykorzystywać następne depozyty. Przy pokonywaniu zalanych odcinków rzędu kilometrów wykorzystuje się podwodne skutery – co jeszcze jest przed nami. Przy organizacji takich wypraw niezbędne jest posiadanie własnej sprawnej sprężarki, co pozwala na napełnienie butli do ciśnienia, które uznamy za stosowne.



TRUDNA SKAŁA

Zima 1989. Siedzę w brudnym, ciasnym, śmierdzącym pokoju, w Yosemite Lodge. Eric Kohl rozvodzi się na temat hakówki (hard aid climbing). Pochyla się do przodu mówiąc „Charlie Fowler kiedyś powiedział, że hakówka jest jak rozbrajanie bomby zegarowej, co uważam za bardzo dobre porównanie. Ja uważam, że to jest nawet więcej – misja samobójcza – swego rodzaju manifest innego stylu życia. Przy czym zarówno hakówka jak i ten styl życia działają jak narkotyki”.

„A co z życiem?” – pytam. „Co z nim? Ja nie mam żadnego celu w życiu. Nie wiem czego chcę. To jest jak w tej piosence o skłonnościach samobójczych *Get Whacked* (dostać w d..., skatować się, wykończyć się na maksa). Ja właśnie oczekuję żeby dostać w d..., a nie żeby się dobrze bawić”. Eric przerywa i pociąga łyk Old English, odchyła się w tył i kontynuuje: „Nie wiem czy wyrażam dokładnie to, co myślę, gdyż strasznie trudno to wyjaśnić. Jedno wiem, te drogi, na które idę, nie są dla zwykłych śmiertelników.

Jest w tym coś z „fowlerowskiego” porównania ich do rozbrajania tykającej już bomby. Jeśli ludzie już tam idą, to dostaną to, na co zasłużyli, i ... – dodaje uśmiechając się ironicznie – „... mogą dostać w d...”. On jest tym, który dostał – myślę sobie. Nigdy nie pójde się wspinąć z tym facetem.

Sześć lat później jestem z Ericem na nowej drodze na Porcelain Wall (Porcelanowa Ściana) w Yosemite. To, że jestem z nim, jest pewnego rodzaju cudem. Nasze ostatnie spotkanie skończyło się niezbyt mile, kiedy po pijackiej kłótni powiedziałem do niego, aby poszedł do diabła. Mój przyjaciel był zszokowany, kiedy się dowiedział, że planujemy wyprawy razem. „Myślałem, że go nienawidzisz?” Nienawidzę Erica? Może jest on jedyną osobą w Yosemite, która doprowadza mnie

do szału, ale nie mogę powiedzieć, że go nienawidzę. My tylko różnimy się punktem widzenia. Wspinanie z Ericem było dla mnie szansą na przekonanie się czy te jego teorie, o których się tak wywodził, są prawdą. Przez telefon jego głos nie brzmiał wrogo, ale kto wie czy nie skończymy spychając się nawzajem z hamaków (portaledge).

Miałem kupę własnych problemów. Przez dziesięć lat żyłem borykając się z finansami, łapałem się za każdą robotę, byle tylko móc się powspinać. Teraz po dwóch latach małżeństwa moje życie i czas nie należą już tylko do mnie. Co gorsza – nie mam wpływu na to gdzie mieszkam. Na początku los zrzucił mnie do Colorado, gdzie za każdym razem, gdy ledwo zagraliśmy miejsce, musieliśmy się już przeprowadzać. Ostateczna decyzja zapadła, gdy Charisse dostała posadę w szkole medycznej w Des Moines. Dokładnie tak, Des Moines w Iowa.

Trzyletni wyrok bardziej męczący niż jakakolwiek wielka ściana. Ale przynajmniej pokonywanie wielkich ścian wyrabia charakter i jest tak cudownie bezsensowne.

The Porcelain Wall, a ściślej mówiąc Diving Board znajduje się w cieniu yosemickiego Half Dome. Jej bliskie sąsiedztwo z najśłynniejszymi ścianami na świecie powoduje, że nie cieszy się ona zbyt wielką popularnością. Przed naszą próbą ściana ta została zdobyta tylko dwa razy. Pierwsze zdobycie było mniej istotnym wydarzeniem w życiu Warrena J. Hardinga, który przede wszystkim jest znany jako pierwszy zdobywca El Capa przez The Nose w 1958 r.

Harding zdobył Porcelanową Ścianę z początkującymi wtedy wspinaczami: Steve Bosque i Dave Lomba. Drugie wejście nastąpiło w czerwcu 1987, kiedy John Barbella i Walt Shipley poprowadzili nową drogę The Luminescent Wall (VI 5.10 A4) po

lewej stronie ściany. Bosque, który tak jak Lom-
ba zaczął w końcu zostawiać ślady swych wspina-
czek w Yosemite, wspomina: „Byliśmy wtedy jesz-
cze żółtodziobami. Długie odcinki ciężkiej hakówki.
(Warren nie pamięta, ale zaliczył wtedy piękny lot
i wyrwał kilka RURP-ów). Były też spore kawałki
z wierceniem dziur. Harding kazał nam oczyszczać
drogę jak zaczęliśmy wykorzystywać ponownie spi-
ty (plakietki), ponieważ był strasznie przewrażliwo-
ny na tym punkcie po drodze the Wall of Early
Morning Light. Wybijanie swoich haków z własnej
drogi było w pewnym sensie spowodowane przez
Robinsa”. Ta ostatnia uwaga Bosque’a dotyczyła
słynnego yosemickiego sporu. W 1970 Harding
założył 27-dniowe zdobywanie The Wall of Early
Morning Light na El Capitan. Jego wyczyn ściągnął
uwagę środowiska wspinaczkowego i mediów na
problem nadużywania nitów i haków. Harding wziął
sobie „oczyszczanie ściany” do serca tak bardzo,
że ogołocił całą Porcelanową Ścianę ze wszystkich
nitów i haków.

Eric zaplanował schemat drogi prowadzącej
szerokim zakolem na prawo od drogi Harding,
Basque, Lamba. Przejście łączyłoby w sobie ele-
menty płyty o wysokości 900 stóp, a następnie
prowadziłoby przez ostrze (skrajem 1000-stopowej
ściany czołowej. Jego schemat okazał się być
błyskotliwą sekwencją rys, załamań, zacięć i ewi-
dentnie był odseparowany od tamtej drogi kilkoma
dłuższymi dziewiczymi pasami skały. Kiedy przy-
byłem do Doliny, Eric już przygotował cztery płyto-
we wyciągi i przetransportował żelastwo na najwyż-
szy punkt. Na pierwszym moim wyciągu skała
najwyraźniej odpycha. Jest też dosyć krucho. Po
klasycznych 100 stopach wspinaczki przeplatanych
hakówką docieram do trawersu. Na jego końcu
wyrasta wprost z poziomej rysy para samotnych
sosen. Rysa ta oddziela płytę od głównej ściany
i jest to ewidentny koniec wyciągu, a sosny ideal-
nym celem na lasso. Dwa haki przypięte do liny
zaświatały po ścianie i odgrzechotały na powrót, ale
cierpliwość popłaca i po kilku próbach trzymam się
już pnia lewej sosny. Drzewo kołysze się wte i w
wte. Pień ma kilka cali średnicy i u podnóża jest
prześiąknięty wilgocią. Usadawiam się i bujam na
ławeczce obserwując jak iglaste gałązki poruszają
się rytmicznie. Uuups. Wszystko obsuwa się kilka
cali w dół. Drzewo zdaje się wysuwać ze szczeliny.
Szybko obwiązuję sosnę po mojej prawej stronie
choć wewnętrzny głos mi mówi, że to i tak na nic się
nie zda. Eric dochodzi na stanowisko niepewnie
zapierając się między prawą sosną a ścianą. So-
senka trzeszczy niepokojąco. „Uważaj na auto” –
ostrzegam go. „Nie naciskaj na to, bo za chwilę
będziemy historią”. Eric rzuca mi uspokajające spo-

żerzenie. „Uff.. może wsadzić tu jakiegoś haczora
w stylu sławnego Drill Sergeant”. Mój partner robi
aluzję do pewnego zasłużonego yosemickiego
wspinacza, który był ogarnięty manią dobijania ha-
ków do ospitowanych dróg.

Po 20-stopowej zapieraczce Eric przystawia się
do następnej przeszkody. Są to kolosalne „schody”
odwrócone do góry nogami, przypominające „og-
romne płyty przyklepione jedna do drugiej i puste
wewnątrz”, te same, które na swej drodze napotkał
również Harding. Pod każdym uderzeniem Erico-
wego młotka słychać jedynie głuche WHUMP. „Tra-
dycyjne mocne A3+” – tak Eric wycenia trudność.
Gdy kończę oczyszczać drogę i zbieram sprzęt
dzień chyli się już ku końcowi i pomarańczowe
światło zachodzącego słońca powoduje, iż martwe
skały dziwnie się ożywiają. Z zachodniej strony
ściany słychać krzyki. To Greg Epperson fotografu-
je nasze zmagania. Epi, który już kilkakrotnie towa-
rzyszył mi w zdobywaniu wielkich ścian, wydaje się
być nieusatisfakcjonowany. Dociera do nas jego
słaby, aczkolwiek pełen wyrzutu okrzyk: „Chłopaki
dlaczego nic nie robicie?”. Epi chce zobaczyć jakąś
poważną akcję. Dzięki serdeczne, ale my już mamy
dość na dziś. Ściana czołowa powyżej nas ewidenti-
nie staje dęba. Na oko jest tego z 1000 stóp. Dla
nas jest to koniec dnia – biwak i piwko.

Zapada noc. Gdzieś na lewo znajduje się droga
Hardinga z ostrym haczeniem i nitowaniem. U pod-
nóża ściany znaleźliśmy ślady dewastacji. Małe
cynkowe nity i zmiażdżone plakietki. Być może to
z powodu tej afery, która toczyła się wokół dróg
Hardinga, jest on wciąż wielce poważany przez
obrazoburczych wspinaczy z Yosemite. Niezmien-
nie niezależny i lubiący dobre wino stał się ulubień-
cem wielu wspinaczy z Doliny. Kiedy rozmawiałem
z nim o Porcelain Wall, powiedział o niej: „Diabelnie
mnóstwo roboty... i bałem się jak jeszcze nigdy
w życiu. Cały czas przewieszane z półami zawalo-
nymi wielgachnymi luźnymi blokami. Pamiętam, że
raz stałem jedną nogą na półce, sięgnąłem i chwy-
ciłem za blok cztery na cztery (stopy) – chichocze.
„Omal nie wyleciałem razem z nim, wsadziłem kilka
haków i przymotałem go do ściany taśmami. Za-
stanawiam się czy to się jeszcze tam trzyma”.
Leżąc tej nocy na portaledge analizuję te siedem lat
spędzonych w Yosemite i jak los pokierował moim
życiem od beztróskich, dzikich wyczynów na wiel-
kich ścianach wprost w ramiona mojej żony Char-
rise. Zasypiam mając przed oczami obraz mojej
żony i mojego domu w lowa wśród zielonych,
płaskich połaci ziemi. Na następny dzień moja
kolej. Zaczynam od kilku przelotów z haków i jed-
nego skajhuka. Zakładam go na oplatku skały,
który porusza się w górę i na prawo i graniczy

z większą płytką przytwierdzoną odpowiednio do ściany. Walę w ścianę BUM, BUM, BUM.

„Gdyby nawet chciał wierceć nit, nie siadłby tutaj za nic” – mamroczę do siebie nie bacząc, czy Eric mnie słucha, czy nie. Ale on jest daleko zatopiony w muzyce płynącej z jego walkmana. Strzępy moich słów docierają jednak do niego. Przekonywałem że wysiadam i szukam pretekstu do zmiany (na prowadzeniu) „Ty masz skończyć ten wyciąg” – mówi i na powrót zakłada słuchawki. Przeklinam w odpowiedzi.

Wkroczyliśmy w błady, prawie biały granit – ślad po obrywie z 1987 r., kiedy to gigantyczny (350 stóp) obelisk odłamał się od ściany. Schemat Kohla prowadzi prosto w strefę zniszczenia. Skrzypiące skajhuki i delikatne haczenie prowadzą nas wprost pod wielowarstwowy dach ozdobiony wielkimi skalnymi okapami – to Death Cookies – Śmiercionośne Ciasteczka.

Oczyszczam drogę obrywając pokaźnej wielkości płyty skalne. Pociski przelatują ze świstem dobre 20 stóp od głowy Erica. Poruszam się jak kot w kaktusach. Moja prawa stopa stoi na potrzaskanej starej warstwie Porcelain Wall, podczas gdy lewa delikatnie porusza się po „nowej” warstwie „porcelany” obnażonej w końcu po wiekach istnienia. Kamole stają się zbyt ciężkie, aby je zrzucić. Mogę jedynie wpłynąć na ich drogę spadania poprzez trącenie łokciem. Eric przygląda mi się uważnie. Nawiasem mówiąc robi to chyba po raz pierwszy. Robię dwa ruchy klinując pięści i jestem ponad przeszkodą, ładując Camelota 3 za pletwą skalną. Testuję ją obserwując z przerażeniem jak piasek i glina obsypują się spod pletwy. Wyżej niestety jest podobnie. „Co się dzieje” – krzyczy Eric. To jest naprawdę nieciekawe – odpowiadam. „Na oko to będzie jakiej A1” – mówi. „Zamknij się. To się wszystko rusza”. Eric milknie. W 1990 był z Waltem Shipleyem na El Capie, gdzie zrobili pierwsze przejście Surgeon General (A5) na prawo od Zodiak. W górnej partii drogi Shipley poprowadził rozległy wyciąg, który cały trzeszczał i jęczał pod jego ciężarem. Walt zaalarmował partnera, ale usłyszał w odpowiedzi: „Podciągnij gatki i zamknij się”. Szczęśliwie ukończyli wtedy drogę, lecz kilka lat później cały wyciąg wyjechał. Nastąpił obryw, który skasował stały sprzęt z kilku sąsiednich dróg. Godzinę później wiercę spit stanowiskowy, szczęśliwy, że to Eric teraz będzie prowadził lub raczej wyprowadzał nas z tej „strefy śmierci”. Wcale nie jestem zadowolony, że wisi mi wprost nad głową. „To jest gorsze niż Bushido” – mówi Eric. Świetnie. Bushido jest cieszącą się złą sławą dróżką na Half Dome, którą Jim Bridwell opisał jako potwornie

kruchą i powiedział, że nie poleciliby jej nawet najgorszemu wrogowi. Eric odchyła się na lewo poprzez potrzaskaną poaść skały i sięga do płytkiego, niewielkiego przewieszenia ustawionego prostopadle do dachu. Jest teraz na skos od stanowiska po prawej stronie.

„Jesteś chrześcijaninem, tak?” – pyta. Przytakuje, czekając na kolejny dowcip z jego strony. „To znaczy, że jeśli jestem tu razem z tobą, to nie powinniśmy zginać, co?”, „Jak przyjdzie na nas czas, to przyjdzie zginać” – odpowiadam. „No właśnie” – uspokaja się Eric po czym wzrusza ramionami i dobija RURPa.

„Uważaj... nieźle ci idzie”. Eric przemyka przez szereg płyt nie mówiąc ani jednego słowa i nie bijąc ani jednego haka. Wierci stanowisko, gdy zmierzchni już zapada. Przed zaśnieciem obserwuję zarys olbrzymiego żebra, które wisi nade mną jak miecz Damoklesa.

Eric jest jednym z tych facetów, którzy są mało znani poza obrębem Yosemite. Dla tych, którzy go znają, jest on jednym z najbardziej utalentowanych wspinaczy hakowych. Jest szorstki i sprytny. Umie ustawiać i podporządkować sobie ludzi i robi to obcesowo, jak tylko ma ku temu nastrój. Kiedyś mi powiedział, że jestem „głupim czarnuchem, który nie wie jak ustawić portaledge”. Na Porcelain Wall poznałem jednak tę łagodną stronę Erica. Może to wpływ jakiejś kobiety? A może jego pogląd na wspinanie się zmienił. Poza tym Eric nie mieszkiał w Dolinie przez ostatnich kilka lat, a od jesieni podobno zamierza studiować radiologię w Bay Area.

Być może Eric jest już na takim poziomie, na którym człowiek albo przestaje się wspinąć i robi coś innego, albo nie przestaje i ginie. Ja osobiście albo wrócę do łowa, albo moje małżeństwo legnie w gruzach.

Następnego dnia zmierzamy w kierunku olbrzymiego owalu o barwie złocistej, który przezważyliśmy Yellow Planaria. Gdzieś po prawej stronie dostrzegam kątem oka Epięgo. Wyciąg dziesiąty kończymy po ośmiu godzinach i trzydziestu nitach. Czwartego dnia Eric przechodzi krótki odcinek nitując, po czym haczy małą przewieszkę. Po szybkim przejściu wyjściowego zacięcia i wrzuceniu kilku zaczarowanych skajhuków (Eric tak je nazywa) mój partner pławi się w morzu żółtej skały. Na tym podłożu prawie nic nie siada. Eric korzysta z każdej możliwości wsadzenia czegoś. Skręca mnie z zardzości, gdy podążam z nim w piękny i trudny wyciąg. Chyba jeden z najlepszych jakie robiłem. Za to mój następny wyciąg jest jednym z naj-

goszych. Mozolne prowadzenie, krótki odcinek A3 i długie nitowanie.

Na kolejnym biwaku ponad Yellow Planaria zastanawiamy się w jaki sposób takie coś mogło powstać. „Czemu to jest takie żółte?” – pytam, „Zawiera związki uranu” – odpowiada Kohl „To znaczy, że to jest radioaktywne?” „Pewnie. Będziesz bezpłodny”. Zmieniam temat. „Co cię skłoniło do tego, że rzucasz wspinanie i idziesz na uniwerk?” „Nie wiem. Potrzebuję czegoś oprócz wspinania. Powoli mam dość tego zniewolenia przez wspinanie. Chcę posiedzieć na plaży, opalić się i popatrzeć na dziewczyny”. „Tak, a to w końcu i tak zawsze tu będzie” – mówię, wskazując na Dolinę. „No pewnie i zawsze można wrócić” – mamerocze Eric. W ciągu jego yosemickiej kariery Eric zrobił 24 pierwsze przejścia dróg o stopniu VI, z tego połowę samotnie i prawie wszystkie A4 lub A5. Z paru swoich wyczynów jest szczególnie dumny, np. Reckless Abandon (VI 5.8 A4+) i World of Pain (VI 5.8 A5), obydwie na Yosemite Falls Wall i typowe jak na drogi Kohla: pogmatwane, niebezpieczne, z minimalną ilością wierconych dziur. Kilka z jego mniej chwalebnych dróg, jak np. Hole World (VI 5.10 A4), łączy w sobie elementy nie tak klasycznego wspinania z długim nitowaniem. Jeszcze w jego najświetniejszym okresie obfitującym w pierwsze przejścia Eric powiedział mi: „Nie obchodzi mnie robienie dróg po których inni będą masowo chodzić. Nie widzę w tym sensu”.

Kończę mój znienawidzony wyciąg następnego dnia. Celem jest teraz olbrzymia półka. Mamy nadzieję założyć tam nasz ostatni biwak. Już powoli jesteśmy psychicznie wykończeni, a i Epi biedaczyna, który wisi przez cały tydzień na linach pstrykając nam zdjęcia, też chyba ma dość Porcelain Wall.

Koniec jest już w zasięgu wzroku. Dziś okupujemy dużą półkę pokrytą drobnym żwirem i udekorowaną ze smakiem blokami wielkości szafki. Daleko po lewej stronie widzę pozostałości nitów na drodze Hardinga. W centrum występu skalnego stary czterocalowy hak wystaje przez zardzewiałą plakietkę. To tutaj prawie 20 lat temu biwakowali Harding, Bosque i Lomba. Jesteśmy drugim zespołem, który śpi na tej słynnej półce gdzie Harding wbił pęk bongów żeby się zabezpieczyć. Ta cholerna ściana była nieobliczalna. Następnego dnia i tak wszystko wyleciało. Całe szczęście, że byliśmy na półce. My z Ericem dowierciliśmy jeszcze nita po prawej stronie, żeby wzmocnić punkty asekuracyjne. Noc spędziliśmy raczej bez wygód, opowiadając sobie anegdoty i dowcipy i czując się jak więźniowie na dzień przed wypuszczeniem na wolność. Później

rozmowa zeszała na poważniejsze tematy. „Tu na górze jest łatwiej żyć – mówię. To na dole jest wszystko co sprawia ból”.

Jest ciemno. Obserwuję migające światła płynące z Curry Village i Yosemite Lodge. Turyści i miejscowi pochłonięci są swoimi sprawami. „Nie ma ludzi zupełnie niewinnych” – zaczyna Eric.

„Co sprawia, że tak myślisz?” „Nie wiem, ale wydaje mi się, że każdy dostaje to, na co zasługuje” – odpowiada Eric.

„Jeśli to prawda, to na co ty zasługujesz?” „Nie wiem” – śmieje się. „Myślę, że zasługuję na to, żeby być tu na górze z tym co lubię najbardziej. Myśląc o Des Moines kontynuuję: „Wierzę, że Bóg daje nam to, czego potrzebujemy, a reszta zależy od nas samych”. „Ale skąd mamy wiedzieć co nam potrzeba?” – Eric mówi śmiejąc się. Jest to pytanie z gatunku retorycznych. Ledwo widzę jego twarz w ciemnościach. „Myślę, że to jest jak gra w Lotto. Nie możesz wygrać, jeśli nie zagraasz”.

Następny dzień rozpoczyna się sesją rzucania lassem. Eric próbuje przerzucić skajhuka poza występ skalny 20 stóp wyżej. Potem trochę wyżej na rękach trawersuje występ i przymierza się do 93-stopniowej ściany uprzednio umacniając płetwę w kształcie sierpu zestawem nitów i skajhuków. Zakłada stanowisko tuż poniżej szczytu. Krzywię się wybijając haki zza tych występów, które przy uderzeniach drgają jak pudło rezonansowe. Eric obserwuje jak zbliżam się do ostatnich przelotów umieszczonych diagonalnie poniżej odpęknienia skały.

To się trzyma tylko na piasku. Szarpnię haka, a drugą ręką trzymam kawał skały, żeby nie spadł. „Jesteś kompletnie walnięty, żeby na tym stać!!” „Epi powiedział, że jest w porządku” – mówi Eric. „On chyba chce koniecznie sfotografować jak się ktoś zabija”. Epi wzrusza ramionami: „Ja się nie wtrącam”.

Prowadzę ostatni wyciąg z „zaczarowanymi” skajhukami na przemian z wierceniem i waleniem młotkiem. Końcówka jest klasyczna. Na szczycie podajemy sobie ręce nie kryjąc zadowolenia, że już po wszystkim. Jeszcze jedna ściana z Ericem? Czemu nie. Patrzę na wschód i myślę o polach kukurydzy.

„Climbing” nr 162, 1996 r.

Tłumaczyła
Magda Nowakowska

STAŻ RATOWNICTWA JASKINIOWEGO

W dniach 27 października – 2 listopada 1997 wraz z Krzysztofem Starnawskim (Speleoklub Warszawski) i Markiem Wierzbowskim (Sekcja Grototazów Wrocław) uczestniczyłem w zorganizowanym przez Spéléo Secours Français (S.S.F.) stażu dla szefów ekip ratownictwa jaskiniowego. Impreza ta odbyła się w miejscowości La Baderque, w Pirenejach francuskich.

Działaliśmy w sześciuosobowym, francusko-polskim zespole. Każdego dnia braliśmy udział w wielogodzinnych zajęciach terenowych. Były to głównie pozorowane akcje ratunkowe w okolicznych jaskiniach. Wieczorami instruktorzy S.S.F. prowadzili wykłady z taktyki, wytrzymałości układów ratunkowych, statystyki wypadków itp.

Na koniec stażu zorganizowane zostały dwudniowe manewry w Réseau Felix Tromb – Henne Morte. Rozmach tych ćwiczeń był imponujący. Wystarczy wspomnieć, że brało w nich udział około 200 ratowników, w tym specjalne oddziały straży pożarnej oraz żandarmeria.



Cristian Dodelin, prezydent S.S.F., objaśnia przepuszczanie węża przez balans

Poziom ratownictwa we Francji jest bardzo wysoki, co roku odbywa tam się ponad 70 różnych stażów i ćwiczeń. Trudno się temu dziwić, skoro w latach 1985-95 zdarzyło się w tamtejszych grotach 426 wypadków. Szczególny podziw budzi przygotowanie taktyczne. Do dyspozycji ratowników są specjalistyczne samochody, namioty, środki łączności, no i oczywiście masa sprzętu. Organizacją akcji ratunkowych zajmuje się właśnie S.S.F, która jest podkomisją Federation Française de Speleologie. Jej działalność jest finansowana przez państwo.

Jeśli chodzi o techniki linowe, to najpopularniejszym sposobem transportu linowego jest balans (przeciwwaga bez żadnej blokady, na łożyskowym bloczku) wykorzystywany nawet w studniach o skomplikowanym przebiegu. Stosuje się wtedy bloczki kierunkowe, czasem podpina się dwóch ratowników jako przeciwwagę. Raczej unika się faszlinga, ponieważ jest on wyjątkowo nieprzyjemny dla ofiary (nosze bardzo się huśtają).

Z Francji przywieźliśmy również kilka nowości. Chciałbym zaznaczyć, że większość z nich jest kontrowersyjna i na pewno nie należy ich przenosić mechanicznie na nasz grunt. Można potraktować je jako godne przemyślenia ciekawostki.

W latach 1994-96 w doskonale wyposażonym laboratorium Petzla przeprowadzono badania sił powstających w różnych układach linowych (podsumowanie testów poniżej). Okazało się, że siły działające na tyrolce są o wiele mniejsze niż przewidywane. Są nawet mniejsze od sił działających podczas zjazdu na podwójnie złożonej, statycznej linie. W związku z tym Francuzi postanowili zrezygnować z drugiej, zabezpieczającej liny na tyrolkach i aktywnie obciążanych trawersach. Częstym widokiem jest zastosowanie ruchomego balansu na tyrolce rozpiętej w poprzek studni. Na pojedynczej linie wiszą wtedy trzy osoby!

Drugim szokującym dla nas faktem była praktyczna rezygnacja z asekuracji noszy podczas transportu. Łatwo się domyślić, o ile ułatwia to wszystkie operacje sprzętowe. Trzeba jednak pamiętać, że odbywa się to kosztem bezpieczeństwa.



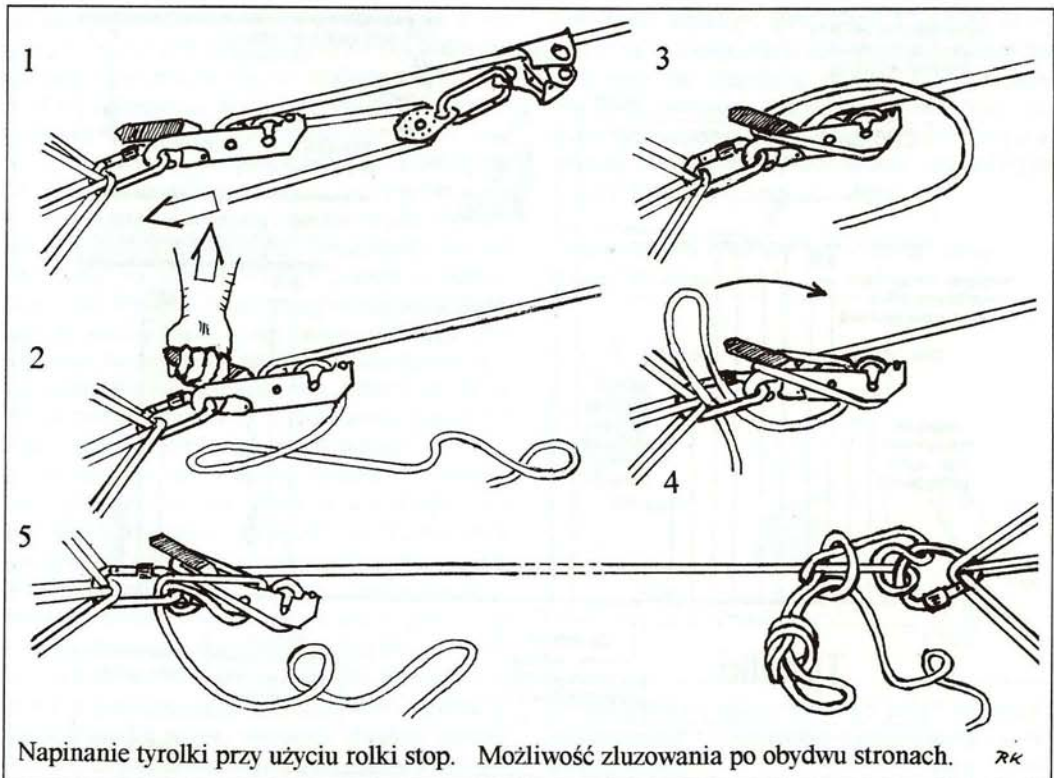
Scena z ćwiczeń

Następną nowością jest zastosowanie rolki zjazdowej z blokadą („stopa”) do naciągania tyrolki. Zastępuje ona półwyblinkę. Po napięciu tyrolki luźną linę zahacza się za rączkę blokady, a następnie blokuje jak normalną rolkę. To bardzo wygodny sposób. Umożliwia na przykład naciąganie układu już po podczepieniu noszy. Ciekawostką jest, że Francuzi próbowali wykorzystać do tego celu gri-gri, ale nie ma wtedy możliwości zluźnienia napiętej liny. Potwierdzono również, że pozostawienie tyrolki na dreslerze grozi zerwaniem koszulki.

Trochę inaczej wyglądają stanowiska do układów linowych. Otóż trzy punkty łączy się zawsze liną, nigdy taśmą. Podyktowane jest to tym, że o wiele łatwiej oszacować zużycie liny i przy najmniejszym uszkodzeniu koszulki lub rdzenia kasuje się ją. Unika się także stosowania karabinków owalnych w kluczowych punktach układu. Sity w karabinku rozkładają się bowiem wtedy na oba ramiona równomiernie i istnieje ryzyko, że nie da się zamknąć zamka pod obciążeniem.

Wyjazd ten był dla mnie nie tylko okazją do zdobycia specjalistycznej wiedzy, ale także wspa- niałą przygodą. Spotkałem ludzi z innego kraju o takich samych zainteresowaniach i podejściu do życia.

Cała nasza trójka została wydelegowana na staż przez Komisję Taternictwa Jaskiniowego PZA.

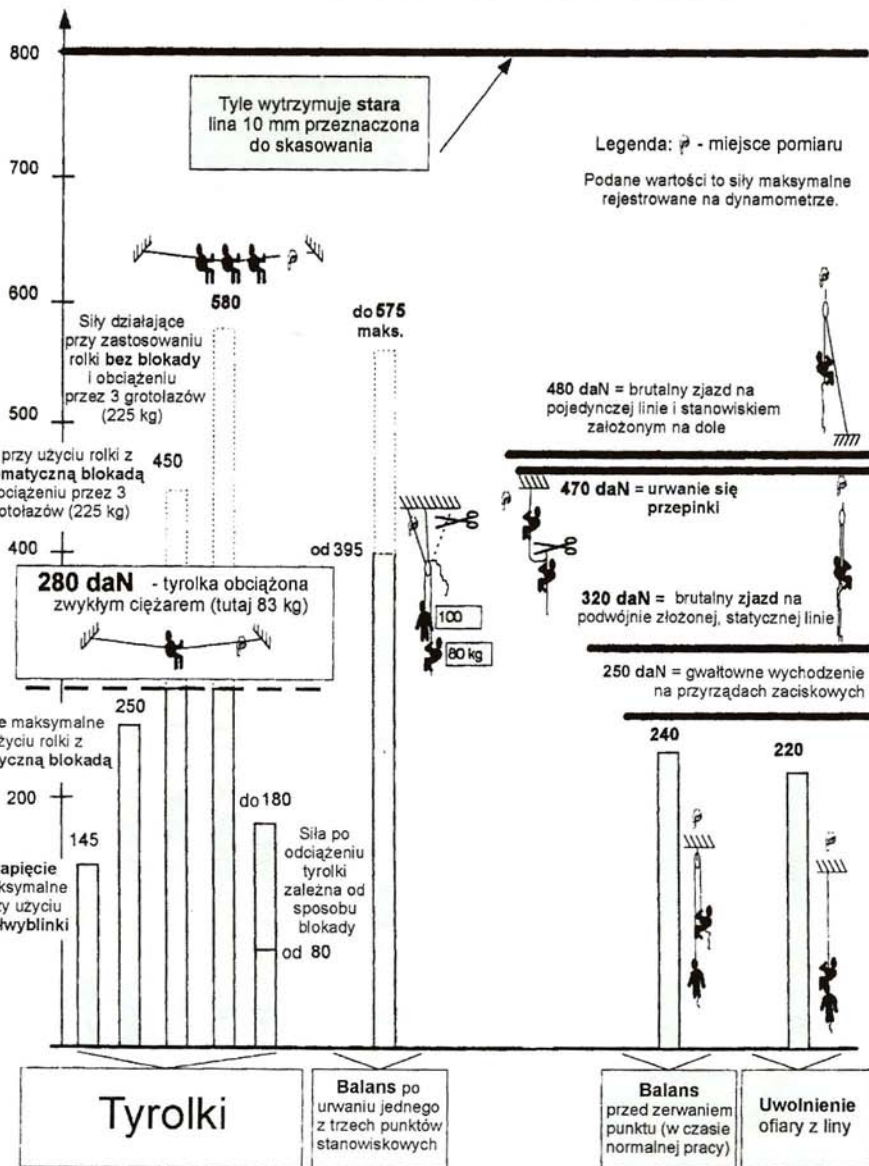


Napinanie tyrolki przy użyciu rolki stop. Możliwość zluźnienia po obydwu stronach. RK

Podsumowanie

wyników badań prowadzonych przez SSF przy współpracy z firmą PETZL

Siła
w daN



za INFO-SSF nr 45



Jan Gondowicz

Tatry - kłątwa Wyspiańskiego

Fot. A. Kłós

Spełniając długoletnie marzenie, pięknego sierpniowego dnia 1901 r. zjawił się przy Morskim Oku Wyspiański. Wzrokiem reżysera omiół imponującą panoramę: roziskrzoną tafłę stawu, siny mur mięguszowiecki, kulisy Żabięgo i Mnicha. Potem odwrócił się do przejętych wagą chwili słuchaczy, skrzywił i syknął: „*Ja bym to wszystko inaczej poustawiał!*”

Miał rację. Ale nie tylko góry stoją nie tak, jak trzeba. 150-letnia przygoda kultury polskiej z Tatrami odsłania z dystansu cechę przejmującą: sąsiedztwo idei z niemożnością i dobrej woli – ze ślepotą. Gdyby Murphy nie sformułował sam swego prawa, ktoś musiałby wpaść na to pod Giewontem. W jego cieniu formuła: „*Jeśli coś może pójść źle, to niewątpliwie tak pójdzie*” – przybiera postać tezy: „*Cokolwiek przedsięwzięte zostanie w Tatrach i okolicy, obróci się we własne przeciwieństwo, a efekty przerosną wszelkie oczekiwania*”. I autor „Wesela” to przeczuwał. Tatry bowiem – to jedyne na świecie góry stojące na głowie. Błąd orograficzny!

Absolut w książeczce

Na półkach paru tysięcy polskich domostw znaleźć można dziwne wydawnictwo. Są to niewielkie książeczki, noszące ślady deszczu, śniegu, nafty, zupy ogonowej, dżemu i stearyny; drobna siateczka nacięć stanowi świadectwo spotkań z nożem i twardą kielbasą. Dziwne plamy dowodzą kontaktu z tzw. zimnym potem. To przewodnik taternicki „Tatry Wysokie” Witolda H. Paryskiego.

Wydawnictwo to, rozpoczęte w niezapomnianym roku 1951, ukończone zostało w 37 lat później. Otwiera je kłątwa przeciw turystyce elitarniej, zamykają zaś – w ostatnich tomach – schematy dróg tak trudnych, że ci, którzy zdolni byłiby je pokonać, nie wychodzą z siłowni, trenując zginacz głęboki średniego palca i jego sąsiedztwo. Dla trzech górskich pokoleń adres willi „Śmigło” na Antałówce wskazywał punkt, gdzie trafiają wszelkie dane o Tatrach dawnych i nowych. Efekt, liczący 25 tomów, 4782 strony, 2849 nazwisk i 3941 dróg wspinaczkowych zarówno uczęszczanych, jak i tych, na które do końca świata nie zbłądzi stopa wspinacza (i nie tylko dróg, lecz także opisów dolin, stawów, potoków, dziur pod kamieniami i kiedykolwiek wzniesionych budowli) stanowi dzieło jednego człowieka. Gdyby w wyniku jakiegoś kosmicznego kataklizmu Tatry zniknęły nagle z powierzchni ziemi, można by je odtworzyć z tego przewodnika.

„*W owym Cesarstwie Sztuka Kartografii osiągnęła taką Doskonałość, że Mapa jednej tylko Prowinjii zajmowała całe Miasto...*” – pisał Borges. Witold H. Paryski zbliżył się do tych kartograficznych fantazji. Nigdy wszak nie wiadomo, czy zagubiony wśród urwisk gzymsik nie pozwoli uratować uwięzionego w ścianie skalnej człowieka. Czy ciaska koleba w odludnej dolinie nie stanie się w czas burzy i urwania torby jedyną nadzieją zbłąkanego turysty. Lub czy wiadomość o prawdopodobnym pierwszym przejściu górnej części prawnej połaci lewego żebra północno-wschodniej ściany Bździochowej Kopy (ja nie zmyślam!) nie okaże się ważnym argumentem w jakimś taternickim sporze. Paryski stał się Linneuszem, Humboldtem i Proustem Tatr. Jego dzieło ściga utopię opisu doskonałego.

Któż lepiej nadawałby się do stworzenia Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej?

Prestiż niejedno ma imię

Podhale, nie uznające żadnej władzy, robi wyjątek dla wielkich autorytetów. Od czasów Chałubińskiego trwa w świadomości ludzi mniej lub bardziej z górami związanych etat Króla Tatr. Po zgonie warszawskiego doktora urząd ten całkiem udanie sprawował Mariusz Zaruski. Wiele wskazuje, że w okresie powojennym do roli monarszej kandydować mogliby Witold H. Paryski i jego żona, botaniczka Zofia Radwańska-Paryska. Należy im się to z wieku i urzędu. Wiedzą wszak o Tatrach wszystko, znają je na wylot od Szkaradnego Żlebu po sam Kołowy Burdel i cieszą się nie pozbawionym lęku respektem środowiska.

Niestety – w tym miejscu właśnie wypada rzecz coś, o czym się tylko od lat mówi, a przynigdy nie pisze. I na co decyduję się z niechęcią i głębokim oporem. Otóż mieszkańcy domu na Antałówce władają raczej Tatrami z kartotek i zielników niż rzeczywistymi. Najwyższe wymagania w stosunku do bliźnich, niełatwe charaktery i – rzecz pod Tatrami osobiwa – absolutny brak poczucia humoru skutecznie odcięły ich od wspomnianego środowiska, na które wpływać można wyłącznie osobistym przykładem i stałą obecnością wśród młodszych. W prestiżu, który ich otacza, brak serdeczności. Dodać do tego trzeba poważne kontrowersje ideologiczne. Stąd stanowiące publiczną tajemnicę frustracje, których ofiarą padali aspiranci rozlicznych egzaminów, gdy przez lat czterdzieści w komisjach zasiadali Paryscy.

Mrówczą pracą i wymóg najściślejszego obiektywizmu, jakich wymagała realizacja przewodnika tak niebywałego, jak „Tatry Wysokie”, wywołać zapewne musiały głęboką reakcję. Objawiła się ona światu z okazji wydania przed 22 laty okazałego tomu „Encyklopedii Tatrzańskiej”. Księgę tę studiovano, jak pomnę, głównie jako świadectwo środowiskowych porachunków. W pedantycznej recenzji, jaką zamieścił w „Wierchach” (1974) wieloletni redaktor „Taternika”, znaleźć można obok wyrazów uznania długi szereg zastrzeżeń. Józef Nyka podkreślił zwłaszcza skrytą pod naukowym sztafażem stroniczość, prymitywny dydaktyzm, uszczypliwości personalne, infantylny styl i anachroniczne opisy sprzętu oraz technik wspinaczkowych „*Encyklopedia Tatrzańska*” – oceniał – *ma strony bardziej tkwiące w niedzielnym dawnych »dykjonarzy« niż rygorach nowoczesnego słownika*”. Z właściwą so-

bie elegancją sformułował też konkluzję, pisząc, że co najmniej 90 procent haseł jest w najzupełniejszym porządku. Ocena miążżąca – bowiem oznacza tyle, co uwaga nauczycielki pod wypracowaniem: „błąd w co dziesiątym wyrazie”. Niemniej ten jedyny w swoim rodzaju koktajl erudycji, pedagogiki, perfidii i naiwności sprzedawał się wówczas wspaniale: 30 tysięcy nakładu rozeszło się w bodaj kwartał.

Temat jak góra

Nowe opracowanie, noszące godny swych ambicji tytuł „Wielka Encyklopedia Tatrzańska” (dalej: WET), pod którego ciężarem padło wydawnictwo „Sport i Turystyka”, a które opublikowało po różnych przejściach małe, lecz honorne wydawnictwo prywatne, jest dziełem wprawiającym w osłupienie. Iść w zawody z małżonkami Paryskimi mógłby chyba jeden tylko Roman Aftanazy, autor monografii kresowych dworów. Wszystko, co o Tatrach lub w związku z nimi napisano, zwalone na kupę stworzyłyby przecież górę rozmiarów Kościelca! Paryscy są jedynymi ludźmi na świecie, którzy tę górę kartka po kartce przejrżeli i scedzili do rozmiarów jednego, acz ważącego równo 2,75 kg tomu. Fiszki musiały iść w dziesiątki tysięcy, bibliografia była co najmniej pięciorejzyczna, ikonografia wprawiała w oczopląs jury ubiegłowiecznych salonów malarstwa. Jeśli tamta encyklopedia miała stron 700 – nowa ma ich 1550 znacznie większego formatu. Uświadomienie sobie tej niewiarygodnej pracy każe widzieć w WET jedną z najważniejszych ksiązek ubiegłego roku.

Zarazem jednak żadna z opinii do jakich doszedł niegdyś Nyka, nie może ulec rewizji. WET zawiera bowiem tysiące informacji na wagę złota, setki ustaleń elementarnych, które łatwiej będzie znaleźć tam niż gdziekolwiek indziej, dziesiątki uproszczeń, mnóstwo przemilczeń, sporo kiepskiej publicystyki i co nieco ewidentnej nieprawdy. W dziele tak pomnikowym zarówno cnoty, jak i – niestety – także niedostatki encyklopedystów tatrzańskich ujawniły się w spotęgowanym wymiarze.

Encyklopedii takiej nie godzi się krytykować komuś, kto dostąpił zaszczytu, by się w niej znaleźć, a jeśli się nie znalazł – tym bardziej: jego motywy są oczywiste. Należałoby więc może, jak zrobiło to już paru recenzentów, taktowanie pominać ten aspekt. Zważywszy jednak, że niczego podobnego nikt po małżonkach Paryskich już nie napisze – przyjąć trzeba, iż ich punkt widzenia został utwalony na wieczność.

Zwracam uwagę na zwrot: „punkt widzenia”. Antoni Słonimski opisał kiedyś encyklopedię publikowaną prywatnym sumptem przed pierwszą wojną światową. Było to tyleż dosłowne, co nudne tłumaczenie jakiegoś Meyera czy też Brockhausa; inwencja wydawcy zaznaczyła się tylko wtedy, gdy temat hasła zatrzącał o kwestie sądownicze, np. „Adwokaci – banda złodziei”. Encyklopedia polemiczna – malowniczy relikw, który, jak się zdawało, wyginał – przeżywa drugą młodość pod piórem Paryskich.

To, czego nie ma

Nawiąta ponad Rowem Zakopiańskim fatalność objęła więc i tę księgę. Na taką encyklopedię, o jakiej wspominał Słonimski, dość byłoby paru słów. Lecz WET jest oparta na zasadzie odwrotnej. Gdyby mówiła o adwokatach, treść hasła brzmiałaby: „Grono aniołów”. Z taką encyklopedią polemiczną polemizować trudniej, bo trzeba mówić jednocześnie i o książce, i o pominiętym w niej wymiarze rzeczywistości. Kluczem do dzieł tego rodzaju jest bowiem właśnie, to, czego w nich nie ma. WET pragnie sprawić wrażenie, że jest w niej wszystko, lecz brak w niej czegoś niezwykle istotnego. Nie ma w niej tego, co się nie udało. A ściślej – to, co się nie udało, przedstawiane jest tak, jakby się udało. Bo gdyby tak coś się pod Giewontem nie udawało – mogłaby się wszak nie udać i Wielka Encyklopedia Tatrzańska...

Rzeczywistość nie przedstawiona, czy to w powieści, czy w dziele historycznym, ma to do siebie, że nie tylko świeci nieobecnością. Przez swe niezamieszkanie zatruwa to, co przedstawione zostało, zannurzając świat – i wewnątrz, i na zewnątrz książki – w fikcji. Sytuacja robi się towarzysko nieznośna i człek ma ochotę przeproszać, że śmie dostrzegać to, czego dostrzegać nie powinien. Wszystko to opisał już dawno Andersen.

Cóż więc się zatem w Tatrach nie udało? Zacząć można od faktu, że nie całkiem udało się Tatrę. Ciasne, niższe od byle Piryń czy Ripy, lodowców żadnych, podejścia długie, piargi strome, ściany krusze, klimat fatalny. „*Ruda kiepska, granit wątpliwy, pastwiska ubogie, wody nieobfite*” – jak pisał Jan Gwałbert Pawlikowski. Jedno, co się im bez wątplenia udało, to podzielić skutecznie dwa bliskie sobie narody. Dowód: absolutny brak tabliczek w języku polskim na Słowacji i po słowacku – w Polsce. O przyczynach tego zjawiska w WET ani słowa. Inny przykład: dwa niezależne i nieufne wobec siebie Parki Narodowe. A wedle planu założycieli z lat 30. miał być jeden, co WET oczywiście przemilcza.

Kolejna wpadka – to ryba z baraním łbem w Morskim Oku alias inne smoki, które znikły wtedy właśnie, gdy zjawiła się zainteresowana nimi publiczność. Za ich spadkobierców uznać należy sławne endemity tatrzańskie – naukową rację bytu Tatrzańskiego Parku Narodowego i przekleństwo kandydatów na przewodników, zmuszonych do wkuwania ich listy. Dziś WET przyznaje półgębkiem, iż rzekome endemity, z nieszczęsnym pszonakiem Wahlenberga na czele, okazały się fikcją, poznajdowano je bowiem dość gęsto w Europie. Gorszy los spotkał inny dziw natury – skrzepłotywkę bagienną, stwora w kształcie krewetki pływającego ponoć w Dwoiśniaku na Hali Gąsienicowej. Zawdzięcza jej karierę ze trzydziestu doktorów nauk biologicznych (są w WET co do jednego), a tymczasem, co było sekretem poliszynela, a co i WET przyznaje, nikt tam niewdzięcznego bydłęcia od niepamiętnych czasów nie widział. Jakby go nigdy nie było.

Słodkie sekrety

Za kompletne nieporozumienie uznać trzeba górnictwo i hutnictwo tatrzańskie, dzięki którym w najdalszych ostępach znaleźć można utwardzone drogi, a w ścianach skalnych – dziury i sztolnie, w których utopiono niejedną fortunę. Metalurgia tatrzańska ma natomiast przed sobą świetną przyszłość, a to wtedy, gdy już pod każdym głazem utworzy się warstwa konserwowo-turystyczna z aluminiowo-pastozębną domieszką. Warto przestudiować w WET hasło „śmieci”, gdzie winien był dojść do głosu krytycyzm wobec bezsilności władz obu Parków Narodowych. Jest to jednak dla autorów próg nieprzekraczalny. Księga ta bowiem prezentuje wyłącznie oficjalną stronę rzeczywistości. Co nielegalne – dla WET nie istnieje. Stąd zapewne milczy też o nader interesujących poszukiwaniach uranu w Dolinie Białego: sztolnia w Wymytem, czyli zachodnim odgałęzieniu doliny, ma ponoć ponad kilometr. Zbiegło się to w czasie z powołaniem tamże rezerwatu ścisłego (1954), więc do dziś nikt nie sprawdził, ile w tym prawdy. Z całego tatrzańskiego hutnictwa zostały raptem trzy krzyże: krzyż Pola w Kościeliskiej, na Polanie Waksmundzkiej i na morenie Czarnego Stawu pod Rysami. Niewiele, jak na wypalenie wszystkich bez mała lasów, w miejsce których zasadzono w latach 20. monokulturę świerkową z tandetnych nasion, kupionych zdaje się pod Salzburgiem; w imieniu tego rachitycznego świerka, walonego przez byle hałny, powołano Tatrzański Park Narodowy, mistyfikując opinię hasłami obrony pierwotności przyrody górskiej. Wtórne dziewictwo owej przyrody, utracone bodaj

w XV wieku, gdy wypas wkroczył na hale, a górnictwo w turnie, stanowi słodki sekret leśników i nie wadzi im eksploatować tatrzańskie „pierwoboru”, jakby to było jakiegokolwiek inne nadleśnictwo.

Wątpliwości ignoranta

Kolejna tragedia ma oblicze idylli. Nigdzie w WET idea i rzeczywistość nie rozchodzą się tak dramatycznie, jak w kwestii ochrony przyrody. Prezentowany w tym dziele obraz nie różni się niczym od dziesiątków utrzymanych w stalinowskiej nowomowie broszurek, produkowanych przez władze Parku. Tymczasem istnieć może – a nawet powinien – inny punkt widzenia. Pierwszy stycznia 1955, dzień upaństwowienia Tatr, stanowi w ich dziejach datę przełomową. Jednym pociągnięciem pióra odcięto korzeń kilkusetletniej kulturze pasterskiej. Załamaniu uległ jej rytm gospodarczy i obyczajowy. Odtąd była już skazana. Wraz z nią odszedł w niebyt fenomen jedynej w swoim rodzaju ludowo-inteligenckiej symbiozy. Naturalny punkt styku kultur, gdzie mieszały się warstwy i obyczaje, przestał istnieć.

W tym punkcie trzeba koniecznie zajrzeć na stronę 1264 i posmakować zdanie: *„Wbrew temu, co wciąż piszą różni ignoranci i demagodzy, prywatnej własności góralskiej w Tatrach państwo nie zagrabiło, lecz częściowo wykupiło, a częściowo wywłaszczyło (po specjalnie wysokich cenach), zgodnie z prawem, które tak postanawia, gdy chodzi o cele ogólnonarodowe...”* Nie wiem, jak szanowni Czytelnicy, ale ja, słysząc ten ton (w WET nader częsty), mam od razu w pamięci „Mały Słownik Filozoficzny”.

Regulaminy Tatrzańskie Parku Narodowego, nie gorzej niż strzeżona paranoicznie granica, ograniczyły swobodę taternictwa polskiego. Do dziś dnia jest ono wielką szkołą nielegalności, ze wszystkimi związanymi z tym kosztami moralnymi. Tabliczka „Rezerwat ścisły”, stojąca całe lata pod Mniczem, nie była bynajmniej, jak może sądzili jej projektodawcy, symbolem troski o górską przyrodę, lecz znakiem obecności tępego i brutalnego państwa. Lekką ręką zafundowano konflikt, którego końca nie widać. Gdy bowiem ludzie widzą sens życia we wspinaniu się na Żabim Niżnim – będą się wspiąć na Żabim Niżnim, choćby do nich strzelano (co się zdarzało). Ani sprawy graniczne, ani przepychanka z Parkiem, ani likwidacja prywatnych schronisk nie doczekały się w haśle „taternictwo” choćby jednego słowa.

Innym jest jeszcze trudniej. Nie znajduje się w WET nawet wzmianki o tym, że przepisy Parku w istocie zabraniają narciarstwa turystycznego. Te-

go właśnie, które wydało barwę postaci Ritterschilda, Oppenheima, Loteczkowej (brak w WET) i innych, które obrosło legendą. Jeśli zatem spotkacie Państwo zimą w Żlebie Zawratowym narciarza z czekaniem na plecaku – proszę wiedzieć, że jest w świetle prawa przestępcą.

W instytucji Parku młodopolska, inteligencka utopia „upierwotnienia gór” znalazła niespodziewanie wspólny język z komunistyczną doktryną. Za cenę „ocalenia” paru kwiatków przed turystyczną hordą, którą wpędzili w Tatry poczynania redaktora „Trybuny Ludu”, J. A. Szczepańskiego, zwanego „krwawym Jaszczem” (WET nie podaje, że udzielał się pod okupacją w krakowskim Deutscher Alpenverein), zdano Tatry na łaskę najwyższych czynników. Efekt ilustrują dzieje szosy Morskiego Oka, budowanej przez lat 20, by czarny mercedes Józefa Cyrankiewicza mógł dotrzeć bez przeszkód do zaprzyjaźnionych z dygnitarzem, uroczych zresztą, gospodarzy schroniska. A gdy udało się gościom przekonać, że knajpa tego schroniska mogłaby zwiększyć obroty, przeniesiono w pobliże stawu zaprojektowany dla polany Głodówka szpetny pawilon widokowy, zaś dla jego klientów zbudowano obok na sztucznym nasypie parking – dziś pusty, bo oberwała się szosa, jakby natura sama chciała wymierzyć sprawiedliwość wandalom. Las jednak, zatruty spalinami, leży i nie odróżnia ani za nasze go życia, ani za życia przyszłego pokolenia.

Owca na biegunach

Z dwóch wynalazków doktora Chałubińskiego nie wiadomo, który miał gorsze skutki. Pierwszy z nich polegał na leczeniu w Zakopanem suchot, zwłaszcza z pomocą żentycy (już wódka lepsza), słońca (którego nie ma) i halnego wiatru; drugim, jak słusznie stwierdził Wiktor Woroszyński, byli górale. Gdy w roku 1927 Juliusz Zborowski, zwany Samuelem, oprowadzał po Muzeum Tatrzańskim Chesterton, nie wiedział już, jak przed gościem wychwalać góralszczyznę. *„Zbójnictwo – zapalał się – była to najszlachetniejsza z profesji, harnasie przed wyruszeniem szczerze modlili się do Boga, nawet mając w planach złupienie kościoła”*. Chesterton, po krótkim namyśle: *„A do kogo niby mieli się modlić?”*

Po upływie stulecia trzeba rzec jasno: Polska naprawdę zainwestowała w Zakopane wszystko, co miała najlepszego. Pół wieku słała pod Giewont niezamożnych entuzjastów, autentycznych artystów, bogaczy z prawdziwymi pieniędzmi, otwartą kieszenią i sercem; niezliczone pióra podgrzewały klimat powszechnego zainteresowania. A skutek? W cztery pokolenia później góralszczyzna stała się

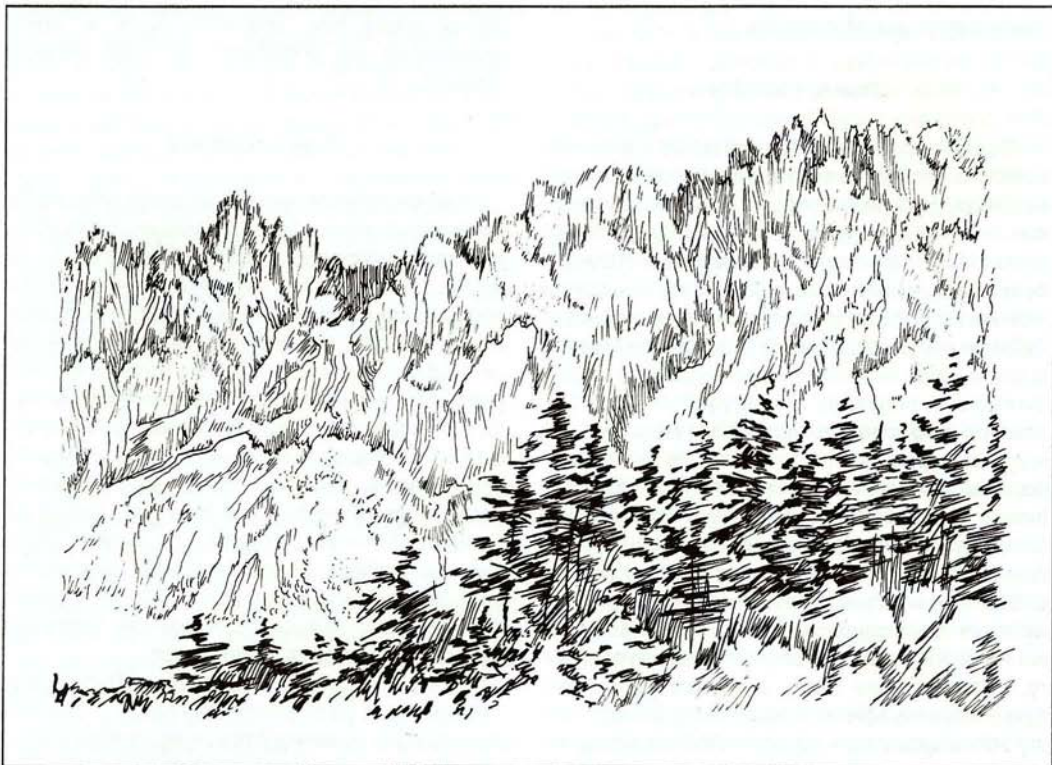
komercyjnym pseudofolklorem, za którego symbol uznać trzeba eksponat z Cepelii na Krupówkach: owcę na biegunach. Wspaniała niegdyś fizycznie i umysłowo rasa doczekała się nie bez racji, i to z ust najbliższych im przed laty kręgów tatarnickich, epitetu „folki”, a co się stało z Podhalem jako krajobrazem i miejscem na Ziemi – każdy widzi. WET słowem nie wspomni, że coś jest może nie tak. Przeciwnie, jest świetnie! Co najwyżej, podrywając się co pewien czas do obrazoburstwa, stwierdzi krótko, że nawet wielki Janosik okazał się Liptakiem i zgoła ponurym zbiorem, a działał raptem półtora roku, jeśli w ogóle istniał.

Kraszuarka ze swastyką

O ile w dziejach poznania i podboju Tatr autorzy WET starają się rekonstruować proces historyczny, niezdolni są dostrzec go w dziejach Podhala. Wysiłek adaptacji, podjęty przez obie strony, górali i inteligentów, bez reszty się im wymyka. Wysiłek – dodać trzeba – zakończony krachem obopólnych złudzeń. Mimo starań ludzi tego kalibru, co Władysław Matlakowski, Karol Stryjeński, Juliusz Zborowski, Karol Szymanowski, wspaniała kultura lokalna na kształt egzotycznego kwiatu przekwitła, nim się

rozwinęła. Wyhodowanym zaś poniekąd przez ludzi dólskich owocem okazała się dzika pazerność. Dwa wymiary wzajemnej fascynacji podsumować może opowieść, jak Szymanowski, mieszkając w „Atmie”, usiłował pozyskać życzliwość miejscowych; osiągnął tyle, że gdy wychodził na ganek, do płota zbliżał się sąsiad: „*He, ponie Szymanowski, lubiem wos! Barzo wos lubiem. Nie mocie tam jakik starych portek?*” Wkrótce potem sztuka polska zbrzydziła sobie Podhale, Podhale zaś – Polskę: o górala łatwiej dziś w Chicago niż na Podtatrze.

Jeszcze gorzej: zmarnowane zostało to, co zyskano. Podhale wypadło bez reszty z kręgu żywego dziedzictwa kulturalnego Polaków. Świadectwem – kompletny niewypał, jakim okazała się literatura pisaną gwarą. Najprzód zachorowała na nietzscheanizm (pamiętacie tego zbójnika, rwącego u Tetmajera zębami stuletnie smreki?), a zaraz potem na stylizację, w czego efekcie ośmieszyła się jak mało co w piśmiennictwie polskim i bezpotomnie zesłała w zapomnienie. Przyznajmy szczerze: kto może się zdobyć na lekturę „Cisoni” czy „Maryny z Hrubego”? Nikt przytomny nie nawiąże w pisanej dziś powieści do podhalańskich realiów. Ostatnimi, co tego próbowali, byli anachroniczny wielopis Jalu Kurek i podhalański Machejek – Józef Kapeniak.



Rys. W. Leder

Mówię o tym, bo literatura, zwłaszcza nowsza, stanowi wyjątkowo słabą stronę WET; z hasel nie sposób się dowiedzieć, kto jest pisarzem wybitnym, a kto zgoła incydentalnym, a produkty doraźnego dziennikarstwa zrównane są w prawach z tekstami o trwałej wartości. Większość zaś hasel zdradza, że wymienianych książek autorzy WET nie czytali. Polonisty nie oszukasz!

Nie lepiej udał się styl zakopiański, zarówno jako idea monopolistycznej brr! sztuki narodowej w duchu nordyckiej świątyni Wang z Bierutowic, jak też styl zdobnictwa, bliski jakiegoś zбочzonego baroku. Gdy ogarnie się myślą szaleńczą pracę Witkiewicza-ojca, człowieka chorego, prześladowanego przez ówczesną zakopiańską mafię, działającego twórczo na tyłu innych polach – aż strach bierze, jak mało z tego wynikało. Był to człowiek niezwykle, lecz oglądając wymyślone przezeń krzesło z kółkami w oparciu, kraszuaraki w stylu zakopiańskim, parawany, etażerki i patarafki, a zwłaszcza „pawilon zakopiański w Kurytybie” – zaczyna się pojmować, skąd się wziął Witkacy. Pomyłka, której tylko wstydić się wypada – tak w istocie odczytać trzeba żenujące wywody – na temat swastyki, czyli „krzyżyka niespodzianego” w WET, utrzymane w poetyce wywieszki z lat stalinowskich, która wisiła, a może jeszcze wisi, na klatce schodowej schroniska Murowaniec.

Dolary i kominy

Tak trafia pod pióro najboleśniejsza poruta – taternictwo, którego niesławny zgon oglądałem już osobiście, gdy pod rządami Gierka zważało pierwsze dolary i kominy. Dolarów było za mało, co spowodowało kradzieże w sklepach sportowych, dotąd psujące nam opinię w Chamonix, a co gorsza – demoralizację młodego pokolenia, rywalizującego radośnie, kto więcej wyniesie. Kominów zaś było za dużo, a paski na nich – oczko w głowie każdego dyrektora – przyniosły niewiarygodne w tamtych czasach pieniądze. Ze zdumieniem patrzyłem, jak rozparzeni forszą potomkowie witeziów skały z młodopolskich majaczeń zabawiają się rzucaniem kufkami w bufet restauracji schroniska przy Morskim Oku. Wspinali się też – i to jak! – ale pogadać było coraz trudniej. Starszyzna zdobyła się tylko na skasowanie wyszynku. Na inne działania wychowawcze nie miała czasu, siedząc po Himalajach. Dziś nie ma ani Himalajów (zarznięto socjalistyczną kurę, znoszącą złote jajka), ani sławetnego etosu, dzięki któremu byle zdobywca filara Świnicy czuł się zobowiązany do – jak pisze Andrzej Wilczkowski – „programowego niesienia pomocy wszystkim i wszystkiemu”. Wspinanie zaś odchodzi w skał-

kach, a najlepiej pod dachem; zresztą zamiast „taternictwo” mówi się „alpinizm”. Oczywiście rzec można, i to nie bez słuszności, że czar subkultury młodego pokolenia jest dla mnie równie obcy, jak dla autorów WET.

Podobna metamorfoza objęła ratownictwo, które zaczęło się patetycznie nad ciałem wydobytego z lawiny Karłowicza przysięga, „*że dopóki zdrowsz będę, bez względu na porę dnia, roku i stan pogody...*”, a skończyło (co można przeczytać w WET) suchą wzmianką o losach jednego z naczelników GOPR, którego zamordował urzędowy zastępca. Ciekawe, co by rzekł o tym Zaruski.

Jak łatwo się domyślić, autorzy WET nie akceptują tego, co się stało z taternictwem po roku 1945; począwszy od tej daty, WET włada kompletną dowolnością. O jednych (sympatyczniejszych?) pisze się szeroko, o innych (z pogardliwą zwięzłością, o największej zaś liczbie – wcale. Dorobek górski, popularność, zasługi pozatatrzańskie nie mają tu znaczenia. Z jednym wyjątkiem. Botanik czy leśnik, w mniejszym stopniu zoolog, a w najmniejszym – geolog, liczyć mogą zawsze na życzliwość autorów. Chyba na tej zasadzie trafił na łamy WET obszernym biogramem geolog Maciej Włodek, wspinacz jakich wielu, pod jednym tylko względem pamiętny dla środowiska: był mianowicie tym, który wyspał grupę tzw. taterników (brak w WET), zajmujących się przerzutem do kraju paryskiej „Kultury”.

Figa w kieszeni

Kwestie personalne ciekawici mogą tylko zainteresowanych. Ale tu ilustrują zjawisko. Zobrazować je można wyliczeniem wielkich nieobecnych. Co można by rzec o np. słowniku polskiego teatru, pomijającym Axera, Jarockiego i Szajnę? Oto przykładowe postaci, bez których taternictwo powojenne byłoby czymś innym, a którym mimo to nie dano przepustki do historii: Adam Dobrowolski (współautor znanego podręcznika „Taternictwo”), Antoni Gąsiorowski, Maciej Gryczyński, Zbigniew Hegerle, Jano Hierzyk, Jan Hobrański, Jerzy Honowski, Jerzy Junger, Piotr Korczak, Krystyna Lipczyńska, Tadeusz Łaukajtys, Jan Łącki, Jan Muskat, Witold Sas-Nowosielski (znany rysownik satyryczny), Lech Skarżyński, Samuel Skierski (wybitny grafik), Jan Strzelecki (wiadomo), Władysław Vermessy, Zenon Węgrzynowicz. I tyłu innych...

Powód? „*Obcując czas jakiś z Encyklopedią Tatrzańską – pisał przed laty Nyka – czytelnik zauważył, jak jej wewnętrzny zegar zwalnia bieg na okresie ostatniej wojny i jak staje na latach 1960-62*”. Pewne uzupełnienia nie zmieniły tego obrazu.

Na moment, w którym następuje odejście od czasu realnego, natrafić można w biogramie Bogny Wiśniewskiej-Skoczylasowej, gdzie nie ma wzmianki o jej najlepszej drodze na zachodnich zerwach niższego wierzchołka Żabiego Mnicha. Droga ta padła bowiem 15 sierpnia 1954 r., a więc już po skompletowaniu odnośnego 7. tomu przewodnika „Tatry Wysokie” (także 1954). I do dziś dnia Paryski nie przyjął tego do wiadomości!

WET ignoruje fakt, że od początków taternictwa sportowego do końca II wojny upłynęło dokładnie tyle czasu, co do końca wojny do teraz. Być może jest to połowa „gorsza”, lecz bądź co bądź nasza. Znaczące, że WET z reguły nie podaje już przy powojennych nazwiskach związanych z nimi nierozwalnie przydomków. Co wolno wojewodzie... Stąd figurują w WET takie środowiskowe miana, jak Abazy, Jaszcz, Orlica, Tate, Wujek – ale już nie wypełniający drugą połowę historii Aligator, Baron, Belfegor, Drzewus, Dzirek, Gacek, Głajza, Kanciarz, Kiszka, Kursant, Małolat, Młody, Odwłok, Palant, Pierdoła, Pomurnik, Półkmięć, Rico, Ruda, Sprężyna, Szalony, Zwierz... Jak można kogoś takiego wpuścić do encyklopedii?

Dla pełni obrazu można tu zauważyć brak znaczących osobistości z dwudziestolecia, jak Wanda Heniszówna-Kamińska, Stanisław Hiszpański, bracia Zbigniew i Jerzy Rzepeccy. Z okresu sprzed I wojny – Kazimierza Firganka, Adama Staniszwskiego, Aleksandra Staneckiego. Na uwagę zasługiwałby też może Władysław Lustgarten, jako pierwszy, któremu 10 sierpnia 1903 r. przyszło zginąć śmiercią taternika.

Tu proszę o wybaczenie, lecz nie kończę. Czas bowiem na zgaszone w WET gwiazdy (i to bez przesady!) taternictwa czeskiego i słowackiego: Karel Bocek, Karel Cerman, Franz Kele ojciec i Frano Kele syn, Oldřich Kopal. Francišek Kutta, Bohumil Nejedlo, František Plsek, Pavol Pochyly, Harry Racz, Jaro Sadek, Zdenek Studnicka, Juraj Weinciller i Kristof Zlatnik. A gdzie Węgrzy: Lajos Horn, Tibold Kregczy, Istvan Laufer? Wreszcie – tylko właściwości towarzyskie klimatu Zakopanego wyjaśnić mogą nieobecność w WET tak znanych grotolazów, jak Józef Frączek, Bernard Koisar, Edward Winiarski czy Rafał Unrug.

Pozwalam sobie żywić przekonanie, że odkrywcą niezliczonych jaskiń „Tata” Winiarski jest w dziejach Tatr ważniejszy od Kukuczki czy Rutkiewiczowej we własnej osobie. Dumając nad tym fantem, widzę oczyma duszy tylko jedno: dwu starszych panów, zmuszonych przez lat kilkadziesiąt mijać

się na Krupówkach, z których jeden piastuje mściwą myśl: – *Ale ci wytnę numer: pominię cię w Encyklopedii!* Tej cichej satysfakcji przypisać też chyba wypada brak w niezliczonych biogramach tak podstawowych danych, jak data urodzenia, tytuł naukowy, publikacje itp., co mógłby ustalić jeden telefon na sąsiednią ulicę, do sekretariatu Polskiego Związku Alpinizmu w Warszawie, a bodaj do samego wydawcy, który jako właściciel księgarni ma prace tych autorów na ladzie. Nie wymienić w biogramie Andrzeja Skłodowskiego, że pisze przewodniki (konkurent?), w biogramie Kukuczki, że we Francji i Polsce wyszły jego książki – to pokazać im figę w kieszeni.

Ropucha z meskaliną

A może lepiej udało się Zakopane, ten pałac i rudera, czy raczej (wedle słów J.G. Pawlikowskiego) pół-Parnas, pół-Abdera, pomnik – jak kiedyś pisałem – potencji cywilizacyjnej Polaków? Dość rzucić okiem na powstałe w tym samym czasie, w tym samym państwie, siłami tychże warstw społecznych i w oparciu o ten sam status uzdrowiska osiedla po drugiej stronie Tatr, by wiedzieć o nas wszystko. „*Zakopane ciągle jeszcze jest pierwotniakiem, dętym pośmidragiem, pokraką, koślawym wyskrobkiem z ojca Niechlujka i matki Machlojki*” – pisał przed 60 laty Rafał (według WET pamfletysta i plotkarz) Malczewski; czy coś się od tego czasu zmieniło na lepsze? Chyba tyle, że Witkacy przed wojną musiał ściągać kokę od Mercka ze Szwajcarii; dziś kupiłby ją na byle rogu. Właśnie Malczewski dał najkrótszą definicję Zakopanego: „*Ropucha z meskaliną*”. Ludzie wymarli, narkotyk zwierzał. Został brodawkowaty płaz. Rację miał zmarły Wojtek Niedziałek, okaz prawdziwie malowniczego zakopiańca, że przeklęta zaporą, miast w Czorsztynie, winna była stanąć na Harendzie.

WET, naturalnie, ani wspomni nazwiska inż. Pirgo, który spaskudził Zakopane pierwszymi kamienicami, czy – tym bardziej – nieznanymi sprawców pokracznych domów wczasowych przy Grunwaldzkiej, koszarnej Słonecznej, potwornego „Granitu”, ohydnych Łukaszówek. A kto wymyślił „wytrysk Ustupskiego” na Rondzie? Kto postawił przed Radą Narodową obmierzłe „ucho Bafii”? Tego się nie dowiemy, choć była okazja. I proszę nie tłumaczyć, że jest to encyklopedia „Tatrzańska”, nie „Zakopiańska”: skoro figuruje w niej „Bagno” (witkiewiczowskie) – trzeba było brnąć dalej.

Gdy o modernizatorach mowa – dziwić musi brak w WET przynajmniej jednej osoby, o której było w Tatrach głośno i w związku z którą zapisano parę ton papieru. Myślę tu o inż. Walerianie Dzieślewskim – niewydarzonym projektancie kolejki na Świnicę (z kamieniołomem granitu w Uhrociu Kasprowym po drodze). Ideę tak niebanalną skazuje WET na zapomnienie. A wraz z nią równie godne pamięci koncepcje: elektrowni na Siklawie pod progiem Pięciu Stawów, drabin i łańcuchów na wzór Orlej Perci na filarze Mięgoszowieckiego, rozszerzenia dynamitem Wąwozu Kraków dla lepszej zrywki drewna, schroniska w stylu „polskiego dworku” na ryglu Czarnego Stawu pod Kościelcem... Pomyśły, które każą wspomnieć, że może nie przypadkiem pierwszym światowej rangi pisarzem, który poświęcił uwagę Tatrom, był nie kto inny, a Gogol (brak w WET). Dorzućę przy okazji, że tym, kto zaplanował na Gubałowie kasyno, był Leśmian.

Odmawiam dobrej woli wszelkim encyklopediom w służbie czegoś innego niż czysta, nieskalna tendencja pamięć. Zreluczenie głupich inicjatyw to samo przez się głupstwo. Ale jako zepchnięcie w nicość zamachów na tatrzańską przyrodę stanowi już wyraz ideologii. Tej właśnie, która każe przemilczeć również fakt zniszczenia kilkuset tatrzańskich szałasów. Ktoś kiedyś podjął taką decyzję, lecz milczą o niej biogramy dyrektorów Tatrzańskiego Parku Narodowego aż po ostatni, urzędującego aktualnie, gdzie nie zabrakło nawet informacji o ukończeniu przezeń szkoły podstawowej.

Zamiast o sprawach ciekawych, a zwłaszcza o ważnych, WET opowiada z upodobaniem bajeczki. Chciałbym zdobyć wiedzę dla dorosłych, np. dowiedzieć się czegoś więcej o *Goralenvolku*. Miejsce jednak, które mogłoby zostać poświęcone tej kwestii, ofiarowane zostało zwierzątkom, opisanym tak, jak np. zając („*Ogólnie znane zwierzę ssące roślinożerne, odznaczające się długimi i silnymi nogami tylnymi...*”) lub jeź („*znany owadożerny niewielki ssak, pokryty ostrymi kolcami [z wyjątkiem strony brzusznej], które może najeżdzać*”). Szukam w WET szerszych danych o tragicznej Konfederacji Tatrzańskiej, lecz dla autorów ważniejszy jest małowniczy opis kamiennej lawiny („*gruchnęła w nocy z pn.-wsch. urwiska skalnego i stoczyła się wzdłuż zbocza (...). Personel Schroniska Téryego, oglądający ten kataklizm, był przerażony; zwalanie się lawiny trwało ok. 20 minut, huk był taki, że trudno*

*było rozmawiać, całe urwisko skalne iskrzyło się i świeciło, olbrzymie bryły w podskokach pędziły w dół, zgrzyty i rumor były przeraźliwe, a zapach siarki dochodził aż do schroniska. Teren spadku lawiny został wybitnie zmieniony i zwalony bryłami kamiennymi wielkości szaf, a nawet małych domków”). W dziele tak obszernym brak miejsca na informację, że istniał pod Tatrami pewien Józef Kuraś, znany też jako „Ogień”. Dość go jednak na rzewne historyjki o kozicach („*Smutnym tego przykładem jest zdarzenie, kiedy w 1971 kilku »turystów« wybrało się spędzić Sylwestra na Wielkim Barańcu w Tatrach Zach. O północy powitali Nowy Rok dzikimi wrzaskami, jodłowaniem, bieganiem i hałasem, co zbudziło śpiący w pobliżu kierdel 14 kozic. Przerażone zwierzęta, uciekające w panice na oślep i po ciemku, wpadły do wielkiego zalodzonego żlebu. Gwałtowny upadek z wielkiej wysokości spowodował śmierć wszystkich 14 nieszczęśliwych zwierzaków [w tym 11 samic, kilka ciężarnych i 3 młodych kozłat...]*”).*

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie mam nic przeciw kozicom. Jedzą mi z ręki. Ale tak pisuje się „mozaiki tatrzańskie”, a nie encyklopedie. Zwłaszcza, gdy los ofiarowuje autorom prezent w formie zniesienia cenzury. Dziś można by, dajmy na to, napisać, że pewne przedwojenne zrzeszenia taternicze miały w swych regulaminach *numerus clausus* i tacy choćby wspinacze, jak Dawid Milechman czy Jazon Blum (brak w WET) nie zaznali nigdy rozkoszy życia klubowego. Tymczasem np. hasło „Gospoda Włóczęgów”, mające za temat zakopiańską siedzibę komunistycznej agentury, jest w dosłownym brzmieniu zacytowane z monografii Anatola Sterna i Mieczysława Bermiana „Mieczysław Szczuka”, która wyszła w roku 1965. Za wszystko też inne, co można by dodać na trefne niegdyś tematy, starczyć nam musi opowieść, jak to Lenin wpadł w dziurę pod śniegiem na Zawracie.

Jak się nie czepiać

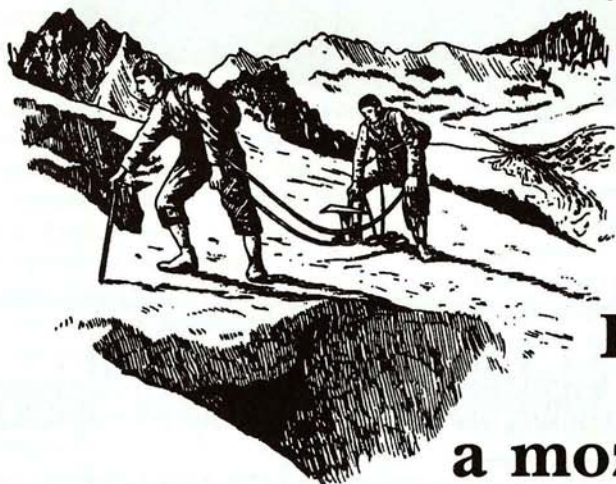
Czuję, jak szanowny Czytelnik nabiera mimo wszystko podejrzeń, że się czepiam. Otóż bynajmniej. Gdybym się czepiał, skomentowałbym fakt, że jest w WET ogromne hasło o Tatrzańskiej Stacji Naukowej w domu państwa Paryskich wraz z relacją o homeryckich bojach z kwaterunkiem, nie ma natomiast hasła o schronisku przy Morskim Oku, gdzie przez pół wieku koncentrowało się życie towarzyskie i uczuciowe polskich ludzi gór. Że

figuruje w WET (ze zdjęciem) żona miłego autorom obecnego dyrektora Parku, tkająca bardzo ładne kilimki, a nie ma genialnego rzeźbiarza Antoniego Rząsy. Że jest p. Piękoś-Mirkowa (ze zdjęciem), uczona następczyni Zofii Paryskiej w wymienionej Stacji, tudzież 167 innych (liczyłem!) botaników, z których połowa to znajomi państwa Paryskich, a nie ma Marii Kaloty-Szymańskiej, autorki najpiękniejszych w ostatnim półwieczu tatrzańskich wierszy. I że są za to p. Kruszelnicki, który zrealizował

cykl audycji o państwie Paryskich, i p. Tomaszewicz za reportaże o państwie Paryskich, i p. Bartman-Czecz, która nakręciła film o państwie Paryskich, i osobno p. Czecz za to samo. I sympatyczny skądinąd p. Martynowicz, wydawca książki państwa Paryskich, i osobno Księgarnia Górską p. Martynowicza, i osobno jego wydawnictwo. Ale o to, co jest, nie mam pretensji. Krąg przyjaciół państwa Paryskich jest równie godny uwagi, jak wszystko inne w Tatrach.

Pretensje mam o to, czego nie ma.

Drodzy Koledzy



Śnią Wam się
Alpy?

Himalaje?

a może zimą?

Bądźcie pewni – zapewnimy wam rześkie zimowe noce jako start do najwspanialszych wyczynów, ale i urocze, ciepłe, przytulne wieczory jak zawsze

w naszej chacie

pod Morskim Okiem

otwartej tylko dla Was

od 20 grudnia do końca kwietnia

Ceny – niższe niż w Starym

Wspaniałą atmosferę zapewnia jak zwykle

Tadzio ASCETA i

dziewczyny

ZOSIA I EWA



Centralny Ośrodek Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu na Hali Gąsienicowej „Betlejemka”

oferuje gruntowne szkolenie taternicze latem i zimą:

- ✓ licencjonowani instruktorzy PZA,
- ✓ najlepszy sprzęt renomowanych firm zachodnich: Edelweiss, Beal, Salewa, Charlet, Camp, Petzl,
- ✓ wykłady i prelekcje ilustrowane przezroczami,
- ✓ bogaty księgozbiór,
- ✓ własny samochód terenowy,
- ✓ wspinaczki w rejonie Hali Gąsienicowej i Morskiego Oka,
- ✓ bezpieczny system łączności radiowej,
- ✓ noclegi, koce, gaz do gotowania.

Zgłoszenia za pośrednictwem klubów lub indywidualnie:

COS PZA, skr. poczt. 399, 34-500 Zakopane tel: (018) 201-24-01

RAKI

Fot. A. Kłos

Od wycieczki alpejskiej do hipertecznego lodospadu. Jak wybrać i jak uniknąć pomyłek.

Już starożytni Rzymianie używali „kolców” – małych, ostro zakończonych blaszek, które przyczepiali pod obcasem. Do końca ubiegłego wieku alpinści także używali „triconnis”, czyli rodzaju gwoździ o trójkątnej główce, umieszczonych w podszwie ich wielkich butów. Właśnie taki sprzęt pozwolił Balmatowi i Pacquardowi zdobyć Mont Blanc w 1786 roku. I dopiero na początku XX wieku pewien Anglik wynalazł dziesięciokolczasty przedmiot z jednego kawałka metalu. A w roku 1930 pojawiły się dwa przednie zęby, co umożliwiło zdobycie Eigeru północną ścianą. Tak powstały pierwsze raki typu współczesnego. Owa niezbyt stara koncepcja osiągnęła taki poziom rozwoju technicznego, że ich ewolucja od tamtych czasów do dnia dzisiejszego wydaje się nieznaczna. A jednak drobne zmiany mogą mieć dla wspinaczki w górach bardzo istotne znaczenie.

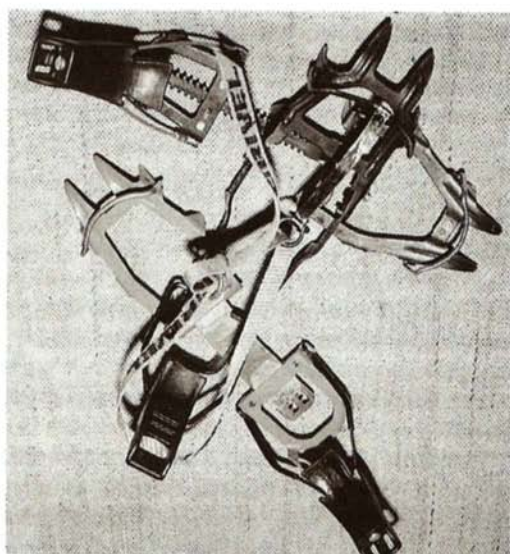
W każdym terenie inny rak

Dziś rozróżniamy 4 ich rodzaje:

Raki 8-10-zębowe na trawersy po stwardniałym śniegu, na lodowe plateau lub nieznaczne wzniesienia z twardym śniegiem.

Stosując przy wspinaczce technikę przednich zębów dla pokonania śnieżnego kuluaru z twardym śniegiem lub dla przekroczenia szczeliny brzowej użyjemy **raków o 12 zębach**, z których dwa przednie są zadarte, by mogły wgrzyźć się w lód.

Przy wspinaczce lodowej owe zęby (wciąż 12) są trochę **dłuższe**, a cztery przednie ostrza są tak ustawione do przodu aby lepiej wchodziły w ostro nachylony lód i odciążały napięte mięśnie.



W lodospadzie, ścianie pionowej i delikatnej precyzja musi być większa. Raki mają **przednie zęby odchyłone pod kątem prostym**, aby umożliwić precyzyjne postawienie stopy i zapewnić dobrą stabilność. W tej kategorii istnieje cała gama rodzajów raków z wymienną częścią przednią, co pozwala na zmniejszenie liczby zębów do dwóch, a nawet jednego.

Zdaniem przewodnika wysokogórskiego Godefroya Perroux: „Korzyść z zastosowania jednego zęba odczuwamy w terenie bardzo kruchym i delikatnym, gdy należy unikać drgań: pozwala to umieścić ząb raka w dziurce po czekaniu. Rak jednozębowy nie jest jednak uniwersalny – w delikatnym lodzie ma tendencje do rysowania i ślizgania się. Jeśli ponadto posiada jeszcze jeden ząb z tyłu, ryzykujemy zahaczenia. Sople lodowe lub stalaktyt może być tak wąski, że brak miejsca na postawienie czubków obu stóp. Dzięki zębowi tylnemu możemy wbić rak piętą z drugiej strony kolumny lodowej – wyjaśnia Godefroy Perroux.

Raków należy używać z głową

Przy wyborze musimy pamiętać, że para buty-raki stanowi nierozłączną całość. Typ wiązania i sztywność raków musi odpowiadać sztywności naszego buta.

Raki z ruchomym przegubem (giętkie): na wycieczki. Wersja z paskami pasuje do wszystkich butów górskich, od najbardziej miękkich do najsztwniejszych.

Raki sztywne: bardzo techniczne, do użycia na lodospadach. Zmniejszają zmęczenie, zwiększają precyzję. Nie nadają się do marszu. Pasują tylko do butów sztywnych.

Raki półsztywne: uniwersalne. Pasują do butów sztywnych i półsztywnych

Typ wiązania

Paski nylonowe lub neoprenowe nadają się do wszystkich typów butów górskich (pierwsze są tańsze, drugie – trwalsze i nie zamarzają).

Wiązania mieszane, złożone z pasków z przodu i piętki (klamry) z tyłu, pasują do podeszwy twardej i półtwardej z odpowiednim wycięciem z tyłu. System ten, zwany półautomatycznym, oferuje optymalne bezpieczeństwo pozostając jednocześnie łatwym i szybkim w użyciu.

Wiązanie automatyczne. Nazwę tę można stosować np. do raków: *Rapidfix* Charleta Mosera, *Cramp-o-Matic* Grivela, *Speed* Simonda. Przedni zamek wkładamy w specjalnie do tego służące nacięcie na czubku buta, a piętę blokujemy zamkiem (klamrą) w tyle buta. Pasują tylko do podeszew sztywnych.

Raki automatyczne

Zajmują poczesne miejsce w rodzinie raków technicznych i wymagają starannego dopasowania. „Od 10 lat używam raków tego typu na lodospadach i nigdy nie miałem żadnego problemu. Wszystko zależy od regulacji i konserwacji” – twierdzi Francois Damilano.

Powstały na prośbę amatorów raków łatwych do zakładania. Wielu zniechęciło się jednak, gdy raki nie pasowały do butów. W rzeczywistości system mocowania nie ma nic wspólnego z technicznymi walorami raka i zależy wyłącznie od buta. Nie jest łatwo rozwiązać problem dopasowania raków do butów. Dlatego też sklepy, w obawie przed sprzedażą złych raków, polecają niekiedy system półautomatyczny z paskami z przodu i piętą (klamrą) z tyłu.

Drobne, acz ważne detale

Kształt stopki zależy od marki. Niektóre firmy zatroszczyły się, by ich wyrób lepiej pasował do większości butów. Charlet Moser umieścił w środku piętki (klamry) dźwignię zaciskową, która podnosi się lub opuszcza w zależności od wysokości krawędzi buta.

Baczenie, aby cięgiła piętka jak najlepiej przylegały do buta. Unikniecie w ten sposób ryzyka, że

podczas akcji ząb drugiego raka zaczepi się w owej szparce, nawet najmniejszej.

Uważajmy też, w jaki sposób czubek buta wchodzi w przód raków. Jeśli zbyt głęboko, uniemożliwi działanie przednich zębów.

Zwróćmy uwagę na tylne zęby. Jeśli zbyt wystają na zewnątrz, poza oś buta, ryzykujemy zranienie łydki lub przynajmniej, co zdarza się bardzo często – rozdarcie spodni.

Paski powinny dawać proste ale skuteczne zaopięcie, by łatwo było nimi manipulować.

System regulacji długości raków należy wybrać taki, by nie wymagał użycia śrubokręta. Nie zawsze jest pod ręką w terenie. Każdy producent szuka własnych rozwiązań. Charlet-Moser powierzył rolę śrubokręta jednemu z kółek blokujących pasek. To system śrubokręta kółkowego. Nowy system Simonda – *Rapido*, który pasuje do modelu *Pitbull Rapido*, nie wymaga użycia klucza. Jest wyposażony w małą dźwignię pod obcasem. Przyciskamy ją, by dopasować rak do wielkości buta.

Rozmiar buta ma tu znaczenie zasadnicze. Nie wiele modeli nadaje się dla stóp małych i bardzo dużych: te skrajne rozmiary są przy wyborze butów wyraźnie upośledzone. Im większą macie stopę, tym większa odległość dzieli przód raka od piętki, tym większa jest jego środkowa, „bezzębna” część. Należy więc wybrać takie raki, by przednią część miały dłuższą, ostrza rzadziej rozstawione i lepiej rozmieszczone pod całą powierzchnią stopy (np. model *Black Ice* Charleta Mosera). Małym stopom grozi inne niebezpieczeństwo, a mianowicie, że ostrza przedniej części raków będą zaczepiać o tylną (przy rakach giętkich). Rozmiary butów mieszczą się zwykle w granicach od 36, 38 do 46. Ostatnio Charlet Moser wypuścił specjalne raki dla małych stóp – model *Argentero* – na wycieczki i dla początkujących w lodzie, z paskami czy rapidfixami (chodzi o system półautomatyczny) o rozmiarach od 29 do 40.

Podkładka przeciwśniegowa (*antibotte*)

Ta mała membrana z lateksu, wciśnięta pomiędzy ostrza raków pod butem, jest niezbędna dla bezpieczeństwa wspinacza. W pewnych warunkach śnieg tworzy pod rakiem twardą butę uniemożliwiając wbić zębów, rak przestaje pełnić swą rolę, staje się nawet bardziej groźny od zwykłej podeszwy. Podkładka, odkształcając się, odkleja śnieg. Nierozłączna z rakiem, jest jednak sprzeda-

wana osobno jako element znacznie mniej trwałą i nie podlegający trzyletniej gwarancji. Żaden przewodnik wysokogórski nie zgodzi się iść z wami, jeśli tych podkładek nie macie. Należy przeznaczyć na nie około stu franków francuskich.

Regulacja

Włożyć rak na but i docisnąć go mocno do przedniego druta, na którym powinien trzymać się bez dodatkowego wiązania.

Wyregulować długość pasków zależnie od szerokości buta. Nigdy nie zostawiać na pasku luzu – grozi zaczepienie drugim rakiem. Przed każdym wyjściem należy skontrolować stan raków. Może od tego zależeć wasze życie.

Sprawdzić regulację, sprawdzić śruby, nakrętki, nity, sprawdzić taśmy, obejrzeć je starannie na całej długości i wymienić w razie najmniejszego uszkodzenia (a w ogóle – co 4 lata).

Sprawdzić ostrość. Użyteczny rak musi być naostrzony.

Sprawdzić stan zużycia brzegów i podeszwy buta – podeszwa półsztywna może z czasem stać się giętka.

Przechowywanie

Każdy przewodnik wysokogórski powie wam, że raki należy konserwować. Zawsze po powrocie trzeba je umyć i starannie wytrzeć natłuszczoną szmatką. Następnie, aby nie rdzewiały ani się nie zniszczyły, przechowywać w miejscu suchym i z dala od substancji korodujących, które przyspieszają zużycie.

Rak istnieje po to, by się wkuwać. Zatem podczas ciągłego przechodzenia ze skały na lód (w tzw. żargonowo *terenie mikstowym*) zęby zużywają się bardzo szybko. Jak powiedział jeden z przewodników: „używanie raków ze stępionymi i zużytymi zębami to jak jazda po mokrej nawierzchni na łysych oponach!”. Przed każdą akcją trzeba naostrzyć zęby, pilnikiem raczej niż na osetce, która zbyt rozgrzewa metal i obniża jego odporność. Należy przeznaczyć godzinę na naostrzenie przede wszystkim 2 lub 4 przednich zębów. Transportować raki, jeśli to możliwe, w pokrowcu, by chronić ostrza i uniknąć zranienia się.

Najnowsze stadium ewolucji

Producenci włożyli wielki wysiłek w ulepszenie raków przeznaczonych na lodospady. Produkt ich działań pozwolił stworzyć nowy wzorzec użycia na bardzo stromych zboczach. Całkowita sztywność

sprawia, że stopa opiera się całą swą powierzchnią, co czyni wspinaczkę komfortową. Cecha ta wyklucza wibracje, a zatem łamanie lodu, także bardzo zmrożonego. Przede wszystkim jednak (przy rakach z regulacją) wspinacz może poczynić w drodze nawet bardzo precyzyjne poprawki przy ustawieniu zębów: zmienić wysunięcie zębów tylnych; regulować odległość między dwoma zębami tylnymi a parą pionowych zębów za nimi; spowodować, żeby zęby tylne miały różną długość; wymienić obie tylne części, jeśli zazały zbyt wielu ostrzei; dopasować różne typy tylnych części, które resztą coraz lepiej nadają się do ulepszonych technik wspinaczki w lodzie. Wymienimy tu raki *Rambo Evolution 2* Grivela.

Przyszły model *Ecrins* Charleta Mosera, przeznaczony na wycieczki i dla początkujących w lodzie, będzie sprzedawany z systemem ruchomym i półsztywnym (aby można było zmieniać teren bez zmiany raków) i wyposażony w łatwo zakładaną i zdejmowaną podkładkę przeciwśniegową. Szerzy niż model *Argentero*, będzie również wygodniejszy (w sprzedaży od stycznia 1998 roku).

Tłumaczenie

Magdalena Kapetuś



AGADE

01-691 Warszawa,

ul. Gdańska 22, tel. 39-87-85

Bank Zachodni S.A. II O/Warszawa

11201027-8253-136-3000

U nas kupisz:

- Tomasz K. Pryjma – *Wspinaczka w cieniu*
- Damian Wądołowski – *English-Polish Lexicon of Climbing Terms and Phrases*
- *Taternik* 2/94, 1/95, 2/95, 1/96, 2/96, 3/96, 4/96 i niniejszy (numery sprzed dwóch lat po obniżonej cenie)
- *Jaskinia Niedźwiedzia w Kletnie*
- *Jaskinie TPN*, tomy: I, III, IV, V, VI
- *Jaskinie Sudetów*
- *Jaskinie regionu Gór Świętokrzyskich*

Realizujemy nawet najmniejsze zamówienia indywidualne i hurtowe.

Wysyłka na koszt firmy.

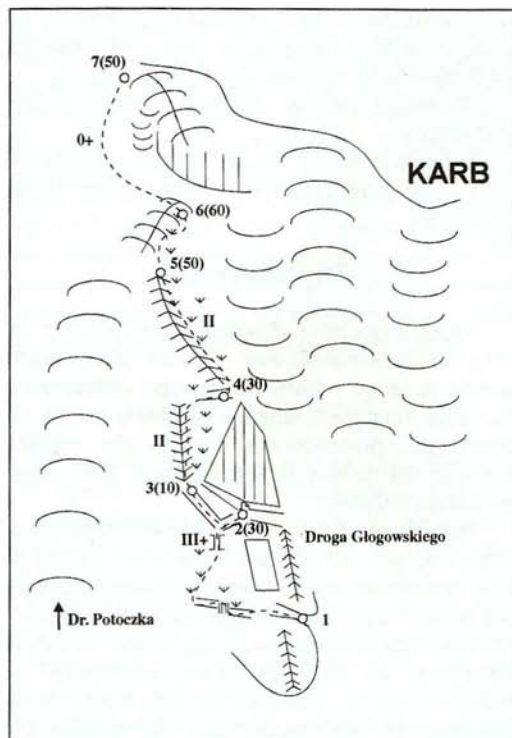
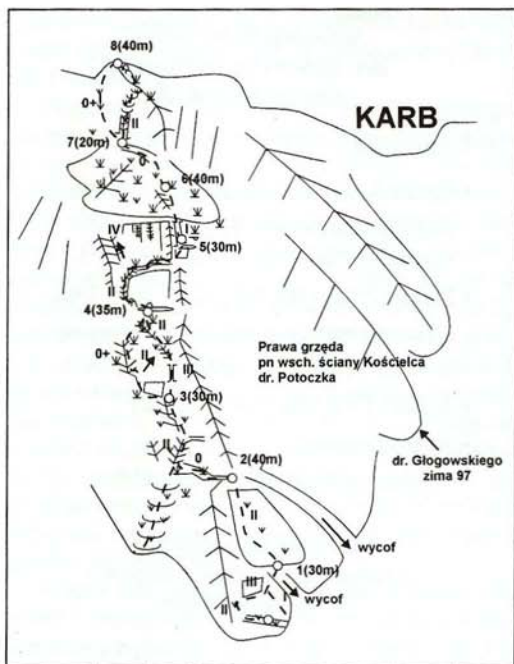
ZIMOWE LABORATORIUM



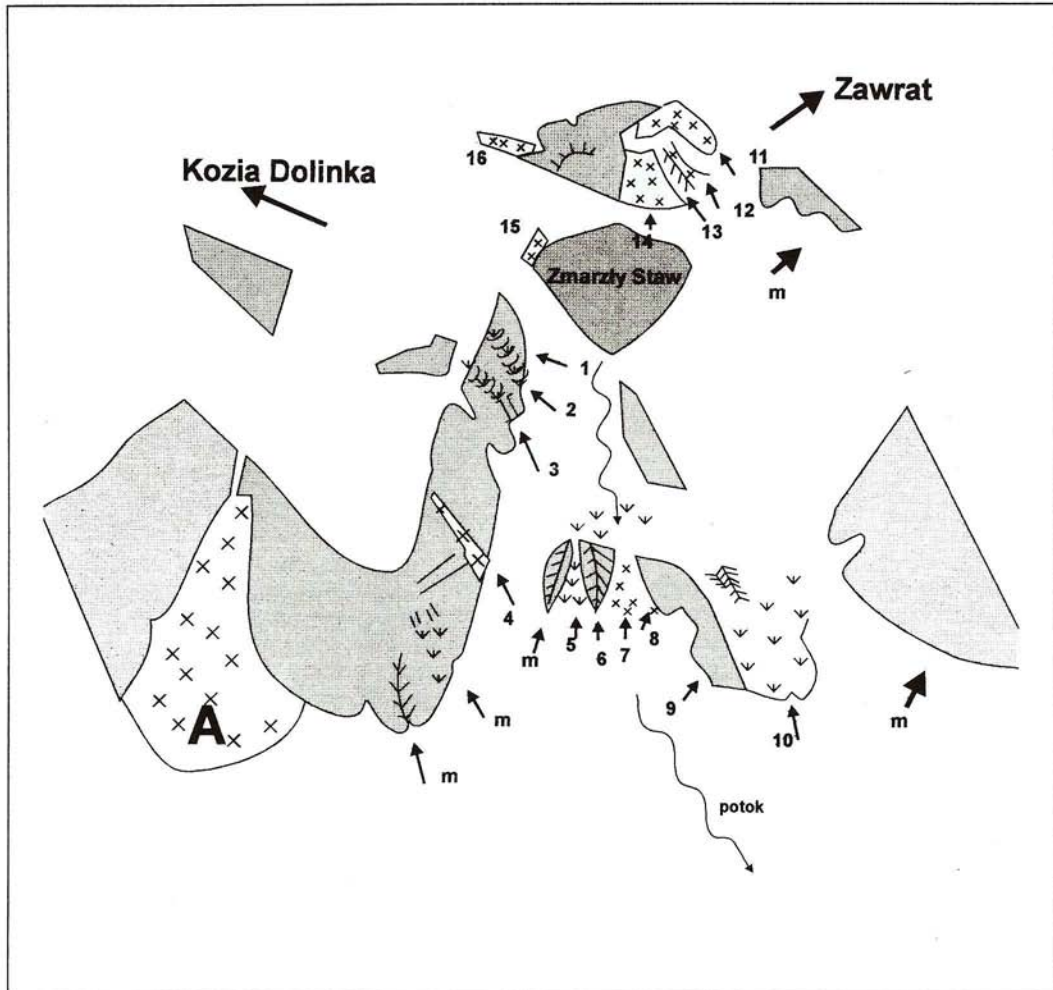
Fot. A. Kłos

Najlepszym sposobem nabrania podstawowych umiejętności we wspinaczce zimowej jest oczywiście odbycie kursu z kompetentnym instruktorem. Ponieważ jednak mamy wolność i demokrację, nie jest to obowiązkowe i wielu młodych wspinaczy rozpoczyna swoją przygodę zimą na własną rękę, często na poważnych drogach nie będąc właściwie technicznie przygotowanymi. A przecież już od wielu lat nikt prawie nie zaczyna swojego letniego wspinania od Tatr, skałki są niezbędnym etapem.

Otóż można znaleźć w Tatrach zimowy ekwiwalent skałek (w takim znaczeniu jak je kiedyś traktowano, czyli miejsca treningu), nadający się zresztą nie tylko dla początkujących, ale i dla wszystkich czujących trochę rdzy w stawach przed sezonem.



Na kursach zimowych w Betlejemce od kilku lat wykorzystuje się w tym celu rejon Zmarzłego Stawu. Jest on położony blisko od Murowańca i Betlejemki, mało narażony na lawiny, posiada już w tej chwili dużą ilość krótkich drózek o niewygórowanych trudnościach z łatwymi zejściami pod ściany (możliwość robienia nowych, w tym również trudnych, choć krótkich, są dalekie od wyczerpania), zaś powrót do domu nastęrcza minimalne trudności orientacyjne nawet w najgorszych warunkach atmosferycznych. Drogi można robić zarówno z dołą jak i z górą asekuracją (rada dla początkują-



A. Śnieżny stożek usypowy – teren do ćwiczeń
(hamowanie czekaniem, asekuracja w śniegu)

m – możliwości

1 – mixt I-II, 25 m

2 – mixt II, 35 m

3 – kominek, mixt II, 12 m

4 – nitka lodowa (nie zawsze), dół 80°, góra 60°, 40 m

5 – kuluar, mixt lub lód II, 30 m

6 – żebro, mixt i skała II, krucho, 25 m

7 – lód, 50°, 25 m

8 – kilka wariantów mixtowych po ok. 8 m, III

9 – mixt i skała, różne warianty II, 10 m

10 – mixt, trawy 2 warianty II

11 – lód, 60° (nie zawsze), 6-8 m

12 – lód, mixt II, 8 m

13 – mixt II, 10 m

14 – lód 60°-70°, dużo wariantów, trawersy

15, 16 – buldery lodowe

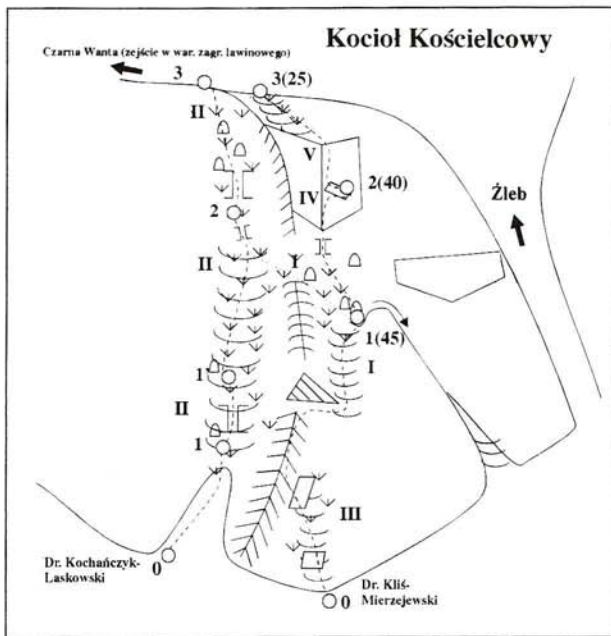
Przy małej ilości śniegu potok tworzy płyty lodu przydatne do nauki poruszania się w rakach (krótkie i połogie)

cych – stanowiska do wędki często zakłada się ze sруб lodowych lub wkrętów do traw i warto je robić nadmiarowo).

Niedaleko położony jest próg Dolinki Koziej, gdzie znajdują się dolne części kilku dróg prowadzących na Zadni Granat, o długości 2-3 wyciągów, o znacznych jednakże trudnościach.

Być może ma przyszłość rejon ścian Kotła Kościelcowego (na razie dwie drogi trzywyciągowe), choć zejścia w warunkach zagrożenia lawinowego mogą wymagać pewnego doświadczenia i miejscami asekuracji.

Dość popularne jest tak zwane Żebro Potoczka na lewo od Karbu; drogi są tu dłuższe (do 7 wyciągów), ale zejście bardzo proste i bezpieczne (gdy



nie jest lawiniasto żlebem z Karbu nad Czarny Staw, w przeciwnym razie przez tzw. Pojezierze trochę co prawda mylnie we mgłę). Długość dróg nie jest tu wielkim zagrożeniem, z najdłuższej i najczęściej przebywanej drogi Potoczka można po prostu zejść po pierwszym i drugim wyciągu.

Najstarszą z tego typu dróg na Hali Gąsienicowej jest chyba Żebro Pietscha na Żółtej Turni (możliwość wycofania po każdym wyciągu), niestety, położona w rezerwacie ścisłym nie jest obecnie dostępna.

Zapewne nie wyczerpałem tu wszystkich możliwości, a pozostają jeszcze Tatrzy Zachodnie (niestety, obecnie niedostępne), Karkonosze, a być może i inne góry, np. znany ze wspinaczek lodowych rejon Międzygórze w Kotlinie Kłodzkiej. Ale to temat na inny artykuł.

Tomek Kliś

NIEZNANA CECHA WĘZŁA TAŚMOWEGO



Fot. A. Kłos

Węzeł taśmowy uważany jest za jeden z najbardziej bezpiecznych węzłów. Należy też do najczęściej używanych. Z reguły związane nim pętle bezkrytycznie traktujemy jako godne zaufania, a oceniając ich przydatność większą uwagę zwracamy na stopień zużycia taśmy niż na sam węzeł.

Tymczasem węzeł taśmowy posiada także słabe strony. Najlepiej znaną jest ślizganie się taśmy w węźle. W trakcie używania taśmy tworzące węzeł przesuwają się po sobie tak, że ich wolne końce stają się coraz krótsze i krótsze. Wreszcie stają się tak krótkie, że wcale ich nie ma i węzeł się rozwiązuje. Szczególnie podatne na to zjawisko są taśmy nowe i słabo zaciśnięte węzły.

Brzmi groźnie, ale w praktyce ryzyko rozwiązania pętli jest łatwe do wyeliminowania. Po pierwsze: jest to proces stosunkowo długotrwały. Wystarczy więc regularnie sprawdzać długość wystających

końcówek i w razie potrzeby węzeł rozwiązać i związać na nowo (długość wolnych końców powinna być w przybliżeniu równa trzykrotnej szerokości taśmy*). Po drugie: efekt ślizgania się taśmy można ograniczyć przez zaciśnięcie węzła po zawiązaniu np. obciążając pętlę ciężarem ciała.

Mniej znana jest inna, niebezpieczna cecha węzła taśmowego. Otóż, w razie niekorzystnego zbiegu kilku okoliczności może się on **samoczynnie rozwiązać!** Dzieje się to bardzo szybko i bez wcześniejszych sygnałów ostrzegawczych.

Popatrzmy na węzeł taśmowy. Jego zewnętrzna część, na rysunku zaznaczona strzałką, jest kontynuacją wolnej, białej końcówki. Jeżeli ten wewnętrzny obwód zaczepi się o coś podczas przesuwania się węzła, np. po skale, wolny koniec zostanie wywleczony na zewnątrz i pętla ulegnie rozwiązaniu.

Aby węzeł się rozwiązał, muszą równocześnie zajść następujące zdarzenia:

- Zewnętrzny obwód węzła musi o coś zaczepić.
- Węzeł musi być obciążony.
- Węzeł musi się przesunąć.

Taki spłot wydarzeń jest mało prawdopodobny, niemniej możliwy. Na przykład podczas odpadnięcia z wahanem na wędkę czy podczas zmiany kierunku zjazdu. W obu tych sytuacjach węzeł jest jednocześnie obciążony i przesuwany. Teraz wystarczy tylko żeby się zaczepił. Może o ucho haka, może o krawędź półki, a może po prostu o szorstką skałę. W obu sytuacjach pętla związana z taśmą mogła być jedynym lub centralnym punktem asekuuracyjnym.

Kilka lat temu w niemieckim środowisku wspinaczkowym głośny był proces dwóch instruktorów spowodowany nie wyjaśnionym rozwiązaniem węzła taśmowego i wypadkiem kursanta. Nieboraków uratowała ogromna wiedza Pita Schuberta, który występował w procesie jako biegły sądowy. Sprawa wywołała na łamach biuletynu „Alpenverein” dyskusję, która zaowocowała licznymi pomysłami mającymi zwiększyć bezpieczeństwo.

Pozornie najlepiej problem „obejść lasem” i stosować wyłącznie pętłe zszywane, zwłaszcza że ich wytrzymałość jest większa niż wiazanych. Trudno się je jednak przepycha przez ucha zbyt głęboko wklepanych haków czy ciasne oczka skalne. Z drugiej strony zaszyta pętla złożona na pół może być za krótka, by opasać nią np. zaklinowany blok.

Inną propozycją może być węzeł, dla którego sugeruję nazwę „węzowy” *Schlangennoten*. Daje się zawiązać tylko na taśmie rurowej. W odległości ok. 20 cm od końca wiąże się na taśmie luźny supeł. Drugi koniec taśmy, ten bez supła, wypycha się do pierwszego do środka. Teraz należy przesunąć supeł na środek odcinka „taśma w taśmie” i zacisnąć. Powstały węzeł przypomina węża zjadającego własny ogon. Jego wady to: długi czas wiązania, konieczność posiadania specjalistycznego patyczka (jebadełko** się nie nadaje). Nie da się też sprawdzić poprawności zawiązania patrząc na węzeł (jedna z końcówek jest niewidoczna).

Najlepszym, zdaniem Pita Schuberta, rozwiązaniem jest łączenie taśm ósemką równoległą, czyli wiązanie taśmowego nie na bazie supła, lecz właśnie ósemki. Wiąże się go wprawdzie nieco dłużej niż zwykły taśmowy, ale jest on mniej podatny na ślizganie taśmy. Nie rozwiązuje się również podczas szorowania o skałę. Niestety, da się go zawiązać na dwa sposoby różniące się ułożeniem taśmy. W wersji prawidłowej nie ma możliwości wywleczenia końcówki z węzła, ponieważ obydwie wystają od wewnętrznej strony węzła, tzn. żadna z nich nie

tworzy zewnętrznego obwoju. W wersji nieprawidłowej jedna z końcówek jest przedłużeniem zewnętrznego obwoju i może zostać wywleczona. Mimo to częściowo rozwiązany węzeł nadal trzyma! „Taśmowa ósemka” spełnia zatem wymagania naszych czasów tzn. jest antydebilna. Niestety pochłania bardzo dużo taśmy.

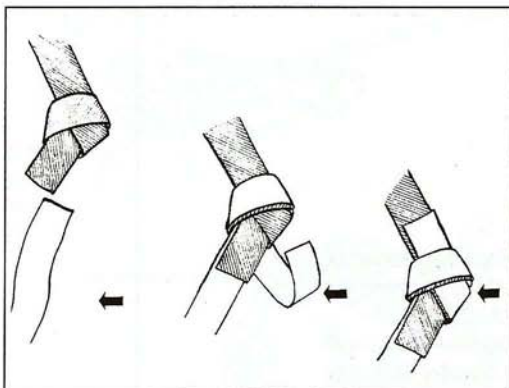
Istnieje też masa innych sposobów na uczynienie węzła taśmowego bardziej bezpiecznym, jak na przykład przyszycie końców do pętli niezbyt mocnym ścięciem, takim aby zabezpieczał je przed wysunięciem, ale w razie potrzeby dał się łatwo rozzerwać.

Nie wpadajmy jednakże w panikę. Węzeł taśmowy nie jest śmiertcionośną pułapką i nie należy go odrzucać. Ma wiele zalet, np. jest najbardziej oszczędnym z węzłów do taśm. Można ocenić poprawność jego zawiązania na pierwszy rzut oka. Ma też swoje wady, np. może się w podanych wyżej okolicznościach samoczynnie rozwiązać. Ważne jest więc zdawać sobie sprawę, jakie to okoliczności i wiedzieć jak ich unikać. Osobiście nadal stosuję węzeł taśmowy. Pilnuję tylko aby nie wchodził w kontakt ze skałą czy sprzętem. Jeśli to niemożliwe, staram się aby pętla była unieruchomiona. W ostateczności wiąże „taśmową ósemkę”.

Statystyka jest po naszej stronie. Znanych jest tylko kilka udokumentowanych wypadków spowodowanych opisanym zjawiskiem. Z drugiej strony może być ono odpowiedzialne za część wypadków, w których za przyczynę uznano źle zawiązany węzeł. Samoczynne rozwiązywanie prawidłowo zawiązanego węzła taśmowego jest bardzo mało prawdopodobne, niemniej kilkakrotnie się zdarzyło i może zdarzyć się znowu. Uważaj!

* Waclaw podaje nawet 4-5 razy szerokość taśmy.

** Klucz do kostek.



Samoczynne rozwiązywanie się węzła taśmowego, zaczepionego o niewidoczny występ skalny na wysokości strzałki.
Rys. T. Kliś

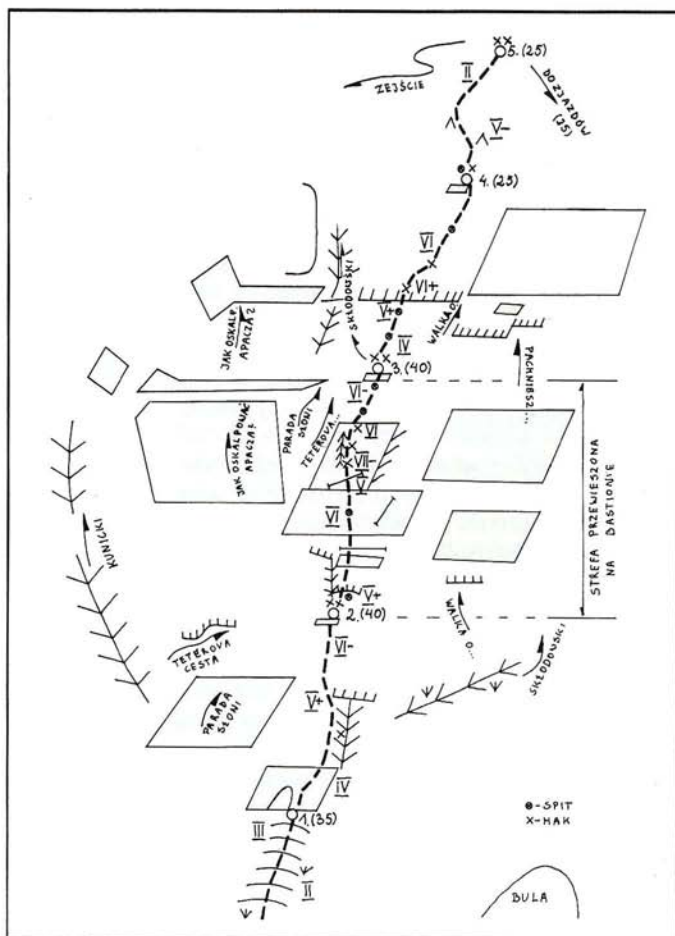
Nowe drogi w Tatrach

Tatrzańska pogoda była w tym roku kapryśna, mimo to udało mi się przejść sporo interesujących dróg, a nawet zrobić kilka pierwszych przejść. Taką nową drogą jest rozwiązanie środka płyty ściany czołowej zachodniego filara Kopy Spadowej. Orientacyjny przebieg drogi wyznacza kilka pętli wiszących na hakach i spitach. Pierwotny plan przeprowadzenia drogi od razu od dołu nie udało się z powodu słabej asekuracji na długich odcinkach. Dlatego wyciągi VII- i VI+ zostały zabezpieczone od góry. Rozpoznanie i „obicie” drogi zajęło mi jeden

dzień mało atrakcyjnej lipcowej pogody. Droga po przejściu zyskała wycenę VII- i nazwę Bastion. Przeszedłem ją w towarzystwie Krzyska Łowczyka. Prowadzi ona w ładnej ekspozycji i nie ma na niej traw ani kruszyny. Bastion ma już powtórzenia. Pierwsze zrobił zespół warszawski: Konrad Cwik, Jakub Minko i Marek Libront.

Drugą drogą jest B-12 na Cubrynie na prawym ograniczeniu północno-zachodniej ściany. Przeszliśmy ją z Krzyskiem Łowczykiem z lotną asekuracją. Stanowiska zaznaczone na schemacie to sugestia dla zespołów pragnących powtórzyć naszą drogę z normalną asekuracją. Dolna część tej drogi to teren kruchy, przetykany wiszącymi trawnikami. Dlatego polecałbym ją raczej na zimę. Możemy się z niej szybko i bezpiecznie wycofać jednym zjazdem na Przełęczkę pod Zadnim Mnichem.

Dominik Kulikowski



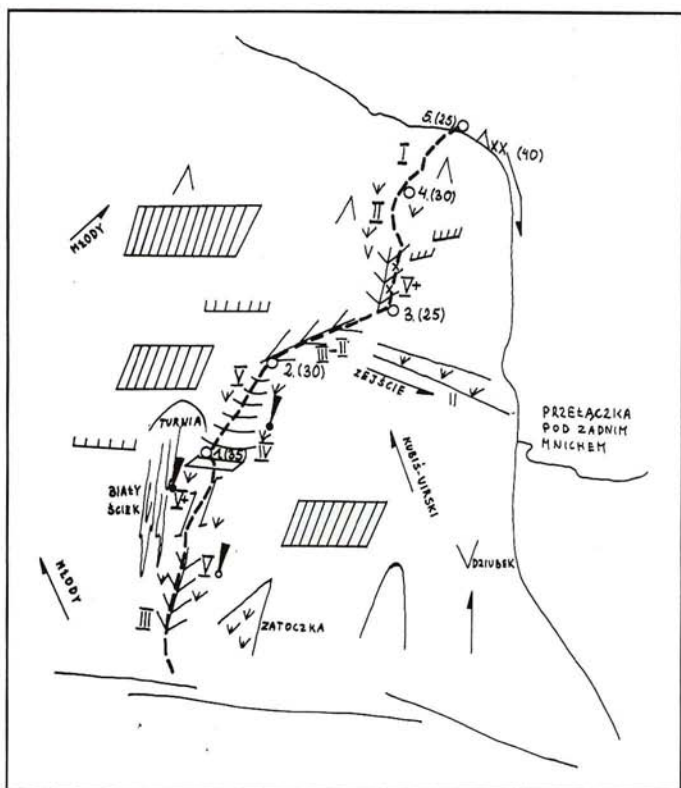
Kopa Spadowa „Bastion”
VII-, 2 godziny, RP
15.07.1997 r.

Dominik Kulikowski

Krzysztof Łowczyk

Sprzęt: 13 haków, 8 spitów, kos-
tki, ekspresy.

Opracowanie i przygotowanie
drogi Dominik Kulikowski



Cubryna „B-12”
 Prawy skraj pn.-zach. ściany
 V+, 2 godziny
 11.07.1997 r.
 Dominik Kulikowski
 Krzysztof Łowczyk

Solo granią Tatr Wysokich

Słowacki taternik z Pieszczan Vlado Plulik dokonał znakomitego wyczynu: przeszedł samotnie zimą główną grań Tatr Wysokich. Nie korzystał z żadnej pomocy ani nie zakładał wcześniej składów żywności na grani. Już w poprzednich latach podjął kilka prób – jednak nieudanych. Tym razem wyczekał na okres dobrej pogody i wyruszył z Przełęczy pod Kopą Bielską w czwartek, 16 stycznia, o 14.30. W sobotę, 18 stycznia, w nocy po 50 godzinach efektywnej wspinaczki i marszu, dotarł do przełęczy Liliowe. Palce miał okaleczone od wspinania, a pod koniec zaczęło mu brakować żywności. Na jego sprzęt biwakowy składała się tylko folia aluminiowa i komplet goretexowy. Szczegółową relację z przejścia solowego grani zamieścił Jamesák nr 2/97.

(ar)

Poznaniacy w Chamonix

Korzystając z urlopów, wspinacze z poznańskiego KW wybrali się do Chamonix z zamiarem wdrapania się na okoliczne szczyty. Masowo wspinano się na Iglach (Gendarme, Aig. du Peigne, Aig. de Blaitiere, Gr. Charmoz, Aig. de l'M), na drogach od D do ED. Do ciekawszych „wycieczek” można zaliczyć:

- Petit Dru, zach. śc. „American Direct” 600 m ED; w niezależnych zespołach (Robert Kaźmierski – Ed Tomaszek, Paweł Olejniczak – Maciej Sokołowski, Maciej Przebitkowski – Artur Walkowiak).

- Grand Capucin, pd. śc. „Swiss Route” 300 m ED; (Paweł Olejniczak – Maciej Sokołowski).

Niektórzy mieli więcej, inni mniej szczęścia do pogody i wybieranych przez siebie dróg. Wszyscy jednak powrócili cali i zdrowi do kraju.

Gilbert Grape

„ZMOWA MILCZENIA?”

Minęło pół roku od opublikowania na łamach „RZECZPOSPOLITEJ” nieprawdziwych informacji w artykułach **Moniki Rogozińskiej**, dotyczących **Wyprawy Narodowej na Nanga Parbat 1996/97**.

Po rozmowach z autorką i kierownikiem wyprawy **Andrzejem Zawadą** oczekiwałem bezskutecznie sprostowania przedstawionych wydarzeń:

1. Nie miał miejsca dialog **lekarza Piotra Wojtki** ze mną, w którym poinformował mnie: „...że jeżeli pójde ma szczyt to stracę palce”, na co miałem odpowiedzieć: „że wiem o tym i podejmę ryzyko”.

Cytowaną, rzekomą wymianę zdań poprzedziła wypowiedź lekarza o mnie: „po raz pierwszy odmroził się w obozie drugim. To było odmrożenie II stopnia obu kończyn górnych. Miał pęcherze,„ (Artykuł pt. „Zjadanie samych siebie” z dnia 7 marca br.)

2. Nieprawdziwa jest informacja podana w artykule pt. „Zmieciony obóz” z dnia 13 lutego: „Teraz jednak najważniejsze było zabezpieczenie powrotu zespołu szturmowego – **Krzysztofa Pankiewicza** i **Zbigniewa Trzmiela**... W obozie (pierwszym – Z.T.) czekał na nich lekarz wyprawy **Piotr Wojtek**”.

3. Manipulacją jest wypowiedź kierownika wyprawy **Andrzeja Zawady** o moim odwrocie z **Krzysztofem Pankiewiczem**: „Jest wielkim sukcesem, że zdołali się o własnych siłach wycofać i dojść do bazy”. (Artykuł pt. „Trzeba kończyć tę górę” z dnia 7 marca br.)

Moja wiedza o przebiegu wydarzeń jest następująca:

Ad. 1. Bezpośrednio połączone fakty odmrożenia przeze mnie palców dłoni i atak szczytowy dziełił blisko czterotygodniowy okres czasu!

Lekkich odmrożeń palców dłoni doznałem **16 stycznia**. Po okresie 10-dniowej **rekonwalescencji** podjąłem dalszą, zaakceptowaną przez lekarza i kierownika działalność wspinaczkową: „*Walka o założenie trzeciego obozu trwa! ... do dwójki dotarli Krzysztof Pankiewicz i Zbigniew Trzmiel. Ten ostatni zaleczył już swoje odmrożenia*”; (**GAZETA POZNAŃSKA**, „Dotrzeć do trójki”, Robert Domżał 01.97 r.)

30 stycznia, po czterech dniach wspinaczki założyliśmy obóz trzeci na wysokości **6700 m**. Przy temperaturze sięgającej **-37°C nie miałem problemów z zaleczonymi palcami**.

Następnego dnia wróciliśmy do **Bazy** na kilkudniowy odpoczynek.

W obozie trzecim znaleźliśmy się ponownie **7 lutego**.

W dniach **8 i 10 lutego** przeczekiwaliśmy załamania pogody w obozach odpowiednio **III i IV**.

Podczas wspinaczki w kopule szczytowej **11 lutego** doznaliśmy silnego wychłodzenia. **Krzysiek** zawrócił z wysokości około **7500 m**, ja zrezygnowałem około **250 m** przed wierzchołkiem...

Ad. 2/3. Doznane odmrożenia w temperaturze bliskiej **-50°C** i porywistym wietrze dotknęły nasze nogi i moją prawą rękę. O wielkości martwicy decydował okres czasu jaki upłynie do otrzymania tlenu i środków rozszerzających, optymalnie w zastrzykach. Przez radio otrzymaliśmy informację, że lekarz **Piotr Wojtek** podchodzi do Obozu I.

Tylko instynkt i perspektywa pomocy pozwoliły nam w ciągu jednego dnia wycofać się na trzech kilometrach lin poręczowych dzielących nas od Obozu I.

W Obozie I nie oczekiwał nas lekarz.

Zawrócił do Bazy, gdzie – jak przekazano nam przez radio – zajmie się nami, gdy tam dotrzemy... Istotnie. **Piotr Wojtek** zadbał o uniknięcie zakażenia, **aplikował tabletki i zastrzyki przeciwbólowe**.

Pierwsze kroplówki ze środkami rozszerzającymi otrzymaliśmy dopiero po... tygodniu w polskich szpitalach.

Autorka „wraca do tematu” w artykule „**Mój przyjaciel namiot**” („RZ”, 26.09.97 r.), w którym zadaje jedynie cyniczne pytanie „*Czy warto było?*” przypłacić amputacjami próbę wejścia zimą na Nanga Parbat.

Odpowiedź na pytanie autorki jest oczywista: **nie warto było!**

Warto natomiast odpowiedzieć na pytanie, **czy przedstawiony scenariusz wydarzeń w mediach oraz raport z Bazy do Biura Szkód Ubezpieczeniowych o podjętym leczeniu nie jest żalosnym**

przykładem wyznawania zasady: *przede wszystkim nie szkodzić, ale bardziej sobie niż pacjentowi*" („Zdrowie zagrożone przez medycynę”; „RZ”, 1.10.97 r.) Niestety, kwalifikacja prawna takiego postępowania to *poświadczenie nieprawdy*...

Artykułem pt. „*Zimowa Góra Polaków*” („RZ”, 18/19.10.97 r.), Pani Rogozińska rozpoczęła nowy cykl sprawozdań z przygotowań i przebiegu kolejnej Wyprawy Narodowej na Nanga Parbat.

Życzę kolegom sukcesu na pozostałych do wierzchołka 250 metrach, rzetelnego przekazu informacji i w razie potrzeby kompetentnej pomocy⁷⁾.

⁷⁾ Oby diagnozy nie sprowadzały się do sformułowania: „*Co ja k... wróżką jestem?*”

Zbigniew Trzmiel

P.S.

Drodzy Koledzy. Mimo że według Andrzeja Zawady „inteligentni wspinacze nie odmrażają się” uwzględnijcie taką ewentualność i dobezpieczcie się.



Jaskinie i speleologia

W Małej Łące

Lato

Późnym latem wybrałem się na poszukiwania jaskiń w rejonie Pośredniej Turni i okolicach komina Flacha. Penetrację zacząłem schodząc najpierw trawami, później kruszycznami samego komina. Moim pierwotnym celem było zwiedzenie Awenu z Korkiem Śnieżnym oraz Komory Gwiazdzistej. Około 150 m od początku traw natknąłem się po lewej stronie na schron. Niby nieciekawym, lecz po odwaleniu kilkunastu głazów zauważyłem szczelinę wchodzącą w głąb – wprowadzie bez przewiewu, ale nietkniętą. Zachęcony pierwszym znaleziskiem zacząłem czesać żlebiki po obu stronach komina. W jednym z nich – klasyczny otwór typu „mysia dziura”. Partie przy otworze dziewicze: zarośnięte, brak obtłuczeń, napisów, okopceń... Dalej komórka (2 – 3 m), z której wyprowadza do góry ładnie myty kominem klipiący się po 3-4 metrach. Dno wyścielone luźnym rumoszem skalnym. Kilka ruchów i odnajduję dwie zagruzowane studzienki. Wychodząc

dostrzegam mały kopczyk ułożony z trzech kamieni bardzo mocno zrosniętych mchem. Raczej niemożliwe, by sam się ułożył. Czyli ktoś tu był dosyć dawno temu. Ale kto? Tego się już nie dowiem...

Pozostawiam problem do następnego przyjazdu. W odległości 4 metrów, na półce skalnej, znajdują zasypyany humusem i kamieniami jeszcze jeden otwór. Traktuję go jako całość z poprzednim i nazywam roboczo „Szuflada”. Czas wracać, wychodzę na skrót z komina, wspinając się nastrojonymi żlebikami w jego lewej części. Przekraczam grańkę dzielącą go od wielkiej depresji z otworami znanych jaskiń – m.in. Dziury w Wantach. Idąc w górę natrafiam na lej krasowy zawalony kamieniami. Miejsce przypomina Nadkotliny i może dlatego oceniam je jako problem numer dwa. Na eksplorację brak mi jednak czasu – wracam do bazy.

Jesień

Wracam w to samo miejsce z koleżanką i kolegą z klubu (Speleoklub Warszawski). Po odwiedzeniu Szuflady idziemy do drugiego problemu i tu

niespodzianka: 1,5 metra nad drogą mojego poprzedniego dojścia znajdujemy nowy otwór – zupełnie w trawach. Wnikamy. Komora wejściowa ma wysokość około 2 metrów, szerokość 3,5 m, a długość 4-5 m. Strop gładko schodzi w zawałisko z rumoszu. Ogarnia nas szal eksploracji. Kaśka odkłada na bok to wszystko, co udaje mi się wyciągnąć z przodka. Po dotarciu do większych wariant jasnym się staje, że trzeba tu nieco większych sił i środków. I tak oto problem numer 3, nazwany przez nas roboczo „Dziurą w Trawach”, poczeka do następnej akcji.

Przemierzamy się około 20 metrów do leja (problem numer 2) i tuż obok znajdujemy dwumetrowej głębokości szczelinę wyścieloną humusem. Nie mam pojęcia, jak mogłem jej nie zauważyć. Na dnie wana zagradzająca drogę, ale da się eksplorować. Tyle że pęknięcie prowadzi wyraźnie w stronę Dziury w Trawach. Nie starczyło znowu czasu na penetrację znanych już jaskiń, ale co się odwlecze...

Podsumowując: warto czasem, idąc do jaskiń znanych, patrzeć nie tylko pod nogi, ale i na to, co nas otacza. Bo każdy może wypatrzeć własną „czelusć”.

Dariusz Lerner

Eksploracja poza Tatrami

Duża jaskinia w Górach Świętokrzyskich

Kolejny interesujący obiekt pojawił się na jaskiniowej mapie regionu w wyniku eksploracji członków Speleoklubu Świętokrzyskiego w znanym od 1972 r. Schronisku Pajęczym położonym w Jaworzni obok otworu Chelosiowej Jamy. Przekopanie zawałiska w czerwcu 1997 r. i kilka późniejszych akcji przyniosło w wyniku odkrycie około 600 m korytarzy i sal. Obecna głębokość wynosi około 20 m, a dalsza eksploracja może dać bardzo interesujące rezultaty (m.in. połączenie z systemem Chelosiowej Jamy – Jaworzniczkiej). Jaskinia Pajęcza jest obiektem objętym ochroną w obrębie rezerwatu przyrody „Chelosiowa Jama”.

Jaskinia Ciesień

Również na Wyżynie Krakowsko-Wieluńskiej dokładniejsza penetracja niewielkiego, znanego

schroniska w okolicy Huciska Ryczówczańskiego przyniosła w maju 1997 r. rewelacyjne rezultaty. Bez jakichkolwiek forsownych zabiegów eksploracyjnych udało się odkryć ciąg o długości rzędu 300 metrów, z dużą salą ok. 20 m długą i do 10 m wysoką oraz interesującą szatą naciekową. Jaskinia została zabezpieczona kratą. Sporządzane są dokładniejsze pomiary i plan.

Jaskinie Karpat fliszowych

Według zestawienia opracowanego przez G. Klasska i T. Mleczka (stan na wrzesień 1997 r.) liczba jaskiń i schronisk zinwentaryzowanych w Karpatach fliszowych wyniosła już 435 (w tym 5 na terenie Słowacji). Długość 14 spośród nich przekracza 100 m, a 7 osiąga deniwelację ponad 16 m.

Manewry ratownicze

W dniach 8-11 listopada Komisja Taternictwa Jaskiniowego PZA zorganizowała w Podlesicach ćwiczenia z ratownictwa jaskiniowego. W manewrach prowadzonych przez Wojciecha Radeckiego wzięło udział ponad 30 grotołazów z całego kraju. W rejonie Filara Wykłętych ćwiczone techniki transportu rannego w noszach, uczono się wykorzystania specjalistycznego sprzętu ratowniczego i montowania poszczególnych układów, takich jak tyrolka, przeciwwaga itp.

Wieczorami, w świetlicy motelu „Ostaniec” odbywały się wykłady, prowadzone m.in. przez szefa manewrów Aleksandra Chruściela i Piotra Słupińskiego. Marcin Gala i Krzysztof Starnawski, przybyli nieomal wprost z międzynarodowego stażu ratowniczego we Francji, zapoznawali zebranych z najnowszymi trendami lansowanymi przez przodującą w tej dziedzinie nację. Ostatniego dnia, kiedy większość uczestników już wyjechała, odbyły się bardziej kameralne zajęcia z użyciem tych właśnie technik.

Jako kontynuację podlesickich ćwiczeń, zaplanowano manewry w jaskini tatrzańskiej zapowiedziane na połowę grudnia.

Paweł Skoworodko

**XXXI Sympozjum
Sekcji Speleologicznej
Polskiego Towarzystwa Przyrodników
im. Kopernika**

Doroczne Sympozjum Speleologiczne odbyło się tym razem w Ojcowskim Parku Narodowym w dniach 17-19 października. Organizatorami byli: Sekcja Speleologiczna PTP im. Kopernika, Komisja „Człowiek i środowisko w czwartorzędzie” Komitetu Badań Czwartorzędu PAN oraz Ojcowski Park Narodowy. Materiały z Sympozjum, opracowane redakcyjnie przez Janusza Baryłę i Michała Gradzińskiego, już po raz trzeci wydane zostały przy pomocy finansowej Komitetu Badań Naukowych.

Obrady, które odbywały się w siedzibie Ojcowskiego Parku Narodowego, otworzył przewodniczący Sekcji prof. Jerzy Głazek. Zebrani minutą ciszy uczcili pamięć zmarłych speleologów: doc. Zbigniewa Rubinowskiego, Janusza Śmiałka oraz prof. Bernarda Geze (inicjatora międzynarodowych kongresów speleologicznych i Międzynarodowej Unii Speleologicznej).

Tematem wiodącym w czasie Sympozjum był kras Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. Wśród 25 wygłoszonych referatów i komunikatów znalazły się również prezentacje na temat najnowszych badań nad krasem w Polsce i na świecie, a także przedstawione zostały wyniki inwentaryzacji jaskiń w Polsce oraz bardzo ciekawe dane dotyczące historii polskiej speleologii. Między innymi Janusz Baryła przedstawił plan kilkumetrowej jaskini „Werteby” na Podolu, wykonany przez Gotfryda Ossowskiego 105 lat temu. Zamierzeniem autora planu było umieszczenie go w większej pracy na temat wykopalisk z tej jaskini. Niestety, z powodu choroby, a później śmierci, do tego nie doszło, pozostał tylko wcześniej wydrukowany w większym nakładzie plan. Jest on prawdopodobnie pierwszym polskim, dokładnym planem dużej jaskini, a jego zmniejszona nieco wersja znalazła się w „Materiałach...” z XXXI Sympozjum.

W drugim dniu Sympozjum równolegle odbywały się 2 sesje terenowe. Większość uczestników zapoznała się z geologią i archeologią w Jaskini Ciemnej (pierwsze wzmianki w literaturze pochodzą z roku 1691), Bramą Krakowską, Jaskinią Łokietka i Jaskinią Złodzijską. W tej ostatniej zastanawiano się nad genezą mleka wapiennego. Prowadzili: Stanisław Kowalski, Józef Partyka, Michał Gradziński i Joachim Szulc.

Uczestnicy drugiej, równoległej sesji terenowej prowadzonej przez Beatę Michalską, Marcina Wawrykę i Sławomira Zagórskiego, zwiedzili Jamę

Ani (dł. 158 m., gł. – 30,5 m) i Jaskinię Sąspowską.

Ostatniego dnia Sympozjum odbyła się kolejna wycieczka terenowa podczas której zwiedzono: Jaskinię Nietoperzową, Jaskinię Wierchowską Górna – gdzie uczestnicy zapoznali się między innymi z problemami ochrony jaskiń udostępnionych turystycznie. Dalsza trasa prowadziła w kierunku Krakowa przez wieś Gacki, kras kopalny w tomie Zabierzów, a na koniec uczestnicy zapoznali się z warunkami hydrogeologicznymi i zjawiskami krasowymi w zrębie Zakrzówka. Prowadzili: Teresa Madeyska, Ireneusz Felisiak, Andrzej Górny, Remigiusz Molenda, Jacek Motyka, Bogdan Słobodzian i Jerzy Roszkiewicz.

W Sympozjum uczestniczyło 87 osób, w tym goście z Czech i Ukrainy.

Regina Kardaś

SZKOŁA WSPINACZKOWA

*Jacek Patrzykont, Rafał Kardaś
instruktorzy PZA*

Szkolenia:

- ☞ *na sztucznej ścianie*
- ☞ *skalkowe*
- ☞ *tatrzańskie na kartę taternika*

**Szkoła zapewnia
sprzęt wspinaczkowy**

Adres korespondencyjny:

02-786 Warszawa, ul. Zamiany 5/117

tel./fax 641-85-77

oraz 659-82-60 (wieczorem)

Z Tatr i Zakopanego

Pielgrzymka papieska

Jako ksiądz, biskup i kardynał, Karol Wojtyła – miłośnik gór, nart i wędrówek – był w Zakopanem stałym gościem. W roku 1983 odwiedził Tatry już jako papież, cel stanowiła jednak tylko Dolina Chochołowska. Również podczas swej pielgrzymki na Słowację w czerwcu 1995 r. znalazł kilka godzin, by przypomnieć sobie znaną z dawnych lat Dolinę Wielicką i oblecieć helikopterem ukochane Tatry.

W Śląskim Domu można dziś obejrzeć specjalnie urządzone pokój, w którym Jan Paweł II wypoczywał. Tej wiosny Ojciec Święty zawitał do Zakopanego, a dni 4-7 czerwca 1997 r. stały się wielkim świętem całego Podtatrza. Zatrzymał się w zakopiańskiej „Księżówce”. 5 czerwca z pokładu helikoptera obejrzał bliskie jego sercu górskie dziedziny – Podhale, Orawę, Spisz Polski – z nowym akcentem krajobrazowym, jakim jest Jezioro Czorsztyńskie. Po południu udał się do Morskiego Oka, gdzie spotkał się z Dyrektorem TPN i jego współpracownikami, przeprowadził też dłuższą rozmowę z Marią Łapińską, serdecznie wspominając zmarłych Czesława i Dziunię Łapińskich. Papieska Msza św. odprawiona pod Krokwią 6 czerwca zgromadziła 350.000 wiernych z całego polskiego i słowackiego Podtatrza. Wśród darów złożonych Ojcu Świętemu był nowy herb miasta Zakopanego – z krzyżem i kluczami Piotrowymi. Późnym popołudniem Papież pojawił się niespodziewanie na Kasprowym Wierchu, gdzie doszło do spotkania z przygodnymi turystami. Również ostatni dzień pobytu pod Tatrami miał program bardzo napięty. Jan Paweł II dokonał uroczystej konsekracji nowego kościoła Matki Boskiej Fatimskiej na Krzeptówkach i odprawił nabożeństwo różańcowe w starożytnym Ludźmierzu, kolebce podhalańskiej góralszczyzny. Dla zakopian i Podhalań wizyta Papieża-Polaka była najważniejszym z wydarzeń ostatnich lat, czymś, czego nie zapomną do końca życia.

Olimpiada pod Giewontem?

Zakopane kilka już razy podejmowało się organizacji prestiżowych zawodów sportowych o ran-

dze międzynarodowej, ostatnio była to zimowa Uniwersjada w roku 1993. Po tej udanej imprezie ojcowie miasta uznali, iż warto podjąć się realizacji jeszcze większego zadania w postaci zimowych igrzysk olimpijskich. Powstał związek międzygminny „Olimpiada Zimowa 2006”, któremu przewodniczy burmistrz Zakopanego Andrzej Bachleda-Curuś (oprócz Zakopanego w pracach przygotowawczych uczestniczą Nowy Targ, Poronin, Kościelisko i Kraków).

Podczas referendum przeprowadzonego w dniu wyborów do parlamentu we wrześniu 1997, za zorganizowaniem igrzysk w Tatrach padło 82,6% oddanych głosów – jednakże przy stosunkowo niskiej frekwencji 38,5%. Koszt organizacji zimowych igrzysk olimpijskich według szacunków ma wynieść 750 mln \$, przy czym duża część nakładów miałaby się zwrócić z opłat za prawo do transmisji telewizyjnych. Decyzja powinna zapaść w roku 1999, konkurentów ubiegających się o zaszczyt zorganizowania olimpiady jest ośmiu, m.in. słowacki Poprad, który za wysunięciem swej kandydatury opowiedział się już w marcu 1997 r., rozpoczynając intensywne przygotowania. Niezbyt prężylnie odnoszą się do olimpijskich pomysłów oba parki narodowe – TPN i TANAP – które obawiają się nieuchronnej rozbudowy urządzeń narciarskich i transportowych.

Zawodne helikoptery

15 maja 1997 r. w pobliżu schroniska nad Zielonym Stawem Kieżmarskim tuż po starcie rozbił się helikopter towarzystwa Air Transport Europe z Popradu, 361 B Alouette III. Na pokładzie oprócz pilota i ratownika HS Jara Michalki byli scenarzysta i reżyser rozpoczynanego właśnie 6-odcinkowego serialu „Horská služba”, Martiná Hubova i L’ubo Kocka. Maszyna nie nabrała wysokości i nie eksplodowała, cała czwórka wyszła więc z życiem – choć nie bez szwanku (urazy kręgosłupa itp.). Była to co najmniej czwarta poważna katastrofa helikoptera w Tatrach. Polskie ratownictwo najboleśniej dotknęła tragedia „Sokoła” nad Kopieńcem 11 sierpnia 1994 r., w której życie stracili dwaj piloci i dwaj ratownicy. Najcięższą w ogóle katastrofą helikopterową w Tatrach był wypadek w Dolinie

Młynicy w czerwcu 1979 r., w którym śmierć poniosło sześciu ratowników HS i pilotów, siódmy – Milan Krišák – zmarł w szpitalu.

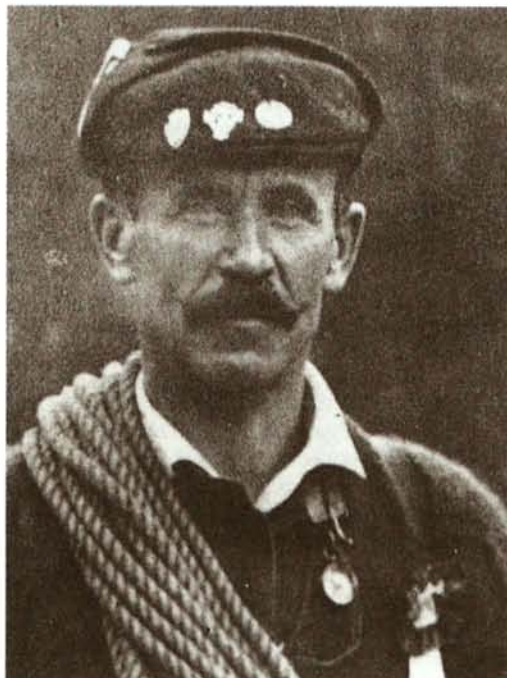
Tatrzański Park Narodowy

Po dłuższym okresie spadku zainteresowania Tatrami w ostatnich latach poważnym problemem staje się ponowny szybki wzrost natężenia ruchu turystycznego. Według danych TPN, w roku 1996 na teren Parku weszło łącznie z przekraczającymi granicę na Łysej Polanie – ok. 6 mln osób. W kierunku Morskiego Oka w pogodne dni ciągnęły nie kończące się procesje ludzi, niewiele lepiej było w Kuźnicach czy w Dolinie Kościeliskiej. Pracownicy parku zebrali na szlakach turystycznych 1400 m³ śmieci. W lipcu i sierpniu sytuacja staje się wręcz dramatyczna, gdyż połowa gości odwiedza TPN podczas tych dwóch miesięcy – średnio dziennie granice Parku przekracza 50.000 osób (bezpieczną „chłonność” naszych Tatr dyrekcja TPN szacuje na 10.000 odwiedzających w ciągu dnia). Letni szczyt przyjazdowy jest utrapieniem dla pracowników TPN, nie służy również turystom: powoduje kłopoty z dojazdem, parkowaniem samochodów, poruszaniem się po ścieżkach, zmusza do czekania w długich kolejkach na wejście na najpopularniejsze szczyty (Giewont, Świnica). W roku 1997 TPN rozważał wprowadzenie limitów dziennych w postaci ograniczonej liczby biletów, w końcu zdecydowano jedynie o podniesieniu ich ceny w lipcu i sierpniu.

Naczelnik wraca pod Tatry

11 listopada 1997 r. na Starym Cmentarzu w Zakopanem odbyła się uroczystość złożenia urny z ziemią przywiezioną z Chersonia na Ukrainie, miejsca śmierci i ostatniego spoczynku Mariusza Zaruskiego – taternika, narciarza, pisarza górskiego, założyciela i pierwszego naczelnika TOPR. Symboliczny powrót Generała pod ukochane Tatry stał się możliwy dzięki staraniom noszącej jego imię Małopolskiej Chorągwi Żeglarskiej ZHP. Ziemię z prochami pobrano z 10 punktów ukraińskiego cmentarza, na którym w latach wojny chowano ofiary NKWD, dokładne miejsce pochówku Zaruskiego, zmarłego w radzieckim więzieniu w roku 1941, nie było i nie jest znane. W Zakopanem urnę złożono pod pamiątkowym głazem nagrobnym, wystawionym na Pęksowym Brzyzku w roku 1971.

W uroczystości wzięła udział Kompania Honorowa Strzelców Podhalańskich.



Mariusz Zaruski

Repr. J. Nyka

Obchody zakopiańskie poprzedziła podobna uroczystość pod pomnikiem Gen. Sikorskiego w Rzeszowie w dniu 27 września, gdzie z honorami wojskowymi urna została przekazana delegacji TOPR przybyłej z Zakopanego.

Niełatwa droga do UIAGM

Polskie Stowarzyszenie Przewodników Wysokogórskich od dłuższego już czasu czyni starania o przyjęcie do Międzynarodowej Unii Stowarzyszeń Przewodników Wysokogórskich (UIAGM). Jak ostatnio podał „Tygodnik Podhalański” (nr 47/97), w dniach 20-23 listopada 1997 odbyło się w Austrii zebranie Komisji Technicznej, a następnie Walne Zgromadzenie Unii. Do udziału w obradach zaproszono delegację Polskiego Stowarzyszenia Przewodników Wysokogórskich, w której skład weszli Maciej Berbeka, Piotr Konopka i Andrzej Lejczak. Oprócz Polski, do unii aktualnie kandydują też Boliwia, Gruzja i Grecja. Poszczególni kandydaci otrzymali oficjalnych promotorów, mających nadzorować proces doszkalania przewodników. Nad przygotowaniem członków PSPW czuwają głównie Niemcy, z którymi naszych przewodników łączą bliskie sąsiedzkie stosunki. Wyrażają się oni z uznaniem o fachowym poziomie polskich kolegów

i nie przewidują trudności w przyjęciu ich do UIAGM. Podczas Walnego Zebrania pełne członkostwo otrzymały Szwecja, Słowenia i USA, dokonano też wyboru nowego prezesa, którym został Włoch Antonio Carrel, potomek słynnego rodu przewodników spod Matterhornu. W czerwcu przyszłego roku walne zebranie UIAGM odbędzie się w Szczyrbskim Jeziorze, Słowacja jest już bowiem pełnoprawnym członkiem tej organizacji. Przynależność do Unii ma duże znaczenie praktyczne, ponieważ umożliwia przewodnikom działalność także w górach innych niż ich pasma krajowe.

Monika Nyczanka

Po południowej stronie Tatr

Statystyka wypadków górskich za 1996 rok

Tatrńska Horska Służba podsumowała działalność ratowniczą za rok 1996. W sumie zanotowano 521 interwencji, tj. o około 80 więcej niż w 1995 roku.

Wypadków śmiertelnych było 14, chociaż media podawały 15, wliczając turystę, który zmarł później w szpitalu. Na łatwych ścieżkach uległo urazom 19 osób, na trudniejszych szlakach 67 osób. Najwięcej było interwencji narciarskich, na trasach zjazdowych 212, a na biegowych 8. Taternickich wypadków odnotowano 22.

Najczęstszymi przyczynami było nieprzebranie zarządzeń i ostrzeżeń – 131, brak umiejętności narciarskich lub górskich – 127, oblodzenie – 29, warunki pogodowe – 16, zmęczenie i wyczerpanie – 32, wadliwy sprzęt i niedostateczne wyposażenie – 17, nieostrożność – 12.

Najwięcej zanotowano kontuzji: kończyn dolnych – 180, głowy – 78, kończyn górnych – 77, klatki piersiowej – 21, kręgosłupa – 17.

Upadki były przyczyną aż 244 interwencji, zderzenia z przeszkodą – 53, kolizji z inną osobą – 29, wychłodzenie organizmu lub przegrzanie – 11, lawiny – 9, uderzenie pioruna – 1.

Na trasach narciarskich doszło do 219 wypadków, na ścieżkach turystycznych – 55, w terenie górskim poza szlakami – 24, w terenie taternickim na drogach o trudności I - II – 22, a na drogach o trudnościach III - VI było 11 wypadków.

Apoloniusz Rajwa

Niezwykłe rekordy Laco Kulanga

48-letni Laco Kulanga obchodził 18 stycznia jubileusz – 30 lat pracy w charakterze tragarza górskiego. Na tę uroczystość zaprosił przyjaciół do Kamiennej Chaty, gdzie jest obecnie chatarem.

W ciągu tych trzydziestu lat pracy w charakterze tragarza wyniósł do różnych schronisk w Tatrach 879 ton i 600 kg, co daje przeciętną roczną 29 ton, a dzienną 80 kg. Ma też na swym koncie niezwykle rekordy, bowiem do Chaty Terye'go wyniósł ładunek ważący 151 kg, a w 1991 roku już jako prawie czterdziestolatek ustanowił absolutny swój rekord wynosząc do Chaty Zamkowskiego ciężar 207,5 kg. Nadal znajduje się w dobrej formie i chce jeszcze ustanowić rekord na trasie do Stefanikowej Chaty pod Dżumbierem.

(ar)

Od Gasherbruma po Everest

Nakładem wydawnictwa Vranka Sport w Bratysławie ukazała się książka autorstwa Milana Vranka – „Od Gasherbruma po Everest”. Zawiera ona opis ekspedycji himalajskich na wszystkie ośmiotysięczniki, w których uczestniczyli himalaiści czescy lub słowaccy w latach 1969-1995. Książka jest ilustrowana fotografiami, a w podsumowaniu zawiera tabelę chronologiczną wypraw na ośmiotysięczniki z udziałem czeskich i słowackich himalaiistów. Cena stosunkowo niska – 98 koron.

(ar)

O nazwach Tatr Wysokich

Nakładem ŠL TANAP ukazała się długo oczekiwana przez miłośników i znawców Tatr książka Ivana Bohuša „Od A do Z o názvoch Vysokých Tatier” z podtytułem „Zemepisné názvoslovie Tatranského národného parku”. Jest to część pierwsza zakrojonego na większą skalę dzieła, dotyczy wyłącznie nazw geograficznych w oparciu o materiały historyczne publikowane w językach słowackim, niemieckim, węgierskim, polskim i łańskim. Całość obejmuje 2141 nazw opracowanych w ośmiu rozdziałach.

W pierwszym znajdują się nazwy szczytów i przełęczy leżących w głównej grani Tatr od Liliowego po Przełęcz pod Kopą Bielską. W następnym – najbardziej rozbudowanym, bo liczącym 32 podrozdziały, omówione zostały nazwy w bocznych grzbietach i ich rozgałęzieniach. Kolejne rozdziały obejmują doliny, kotliny i ważniejsze zleby, jeziora

tatrzańskie, źródła, potoki i wodospady, jaskinie, również lasy i polany, a także osady, miejscowości, schroniska i ważniejsze drogi. Całość zamyka alfabetyczny wykaz nazw. Już przy pobieżnym zapoznaniu się z treścią książki można zauważyć, że rozdział o jaskiniach opracowany został w oparciu o informacje już nieaktualne. Brak w nim największych jaskiń w Tatrach Wysokich, jak Jaworzynka i trzy jaskinie Czarnogórskie. Mimo tych braków, a być może i innych, książka ta ucieszy kolekcjonerów dzieł tatrzańskich oraz znawców topografii Tatr. Dla przeciętnego turysty jest ona mniej przydatna.

Książkę w cenie 248 koron można nabyć w siedzibie ŚL TANAP w Tatrzańskej Łomnicy oraz w punktach informacji TANAP.

(ar)

Spotkanie instruktorów

Doroczne spotkanie instruktorów PZA zaproszonych przez Komisję Szkolenia odbyło się tym razem w Betlejemce 6 grudnia. Program obejmował: debatę nad osadzaniem stałych punktów asekuracyjnych, ustalenie programu letnich kursów taternickich i wytycznych egzaminacyjnych na kartę taternika oraz ocenę szkolenia prowadzonego w klubach i szkołach wspinaczkowych.

Instruktorzy, pod kierunkiem szefa szkolenia Wojtka Świącickiego, wybrali komisje, których zadaniem jest opracowanie materiałów z dyskusji i przedstawienie ich w formie umożliwiającej rozesłanie do zainteresowanych.

(a)



Od lewej: Ryszard Gajewski, Piotr Tabakowski, Wojciech Wajda, Piotr Xięski

Obozowisko w Sokolikach

Sudecki Klub Wysokogórski przejął 15 listopada 1997 roku obozowisko w Sokolikach, dawniej prowadzone przez KW Wrocław. Obiekt był zaniedbany i zniszczony. Jeszcze jesienią wykonano niezbędne naprawy, w tym remont drogi do Karpnik. Reszta prac ruszy wiosną. Na to potrzebne są pieniądze. SKW cały czas stara się o niezbędne fundusze przy poparciu gminy Mysławkowice i Związku Gmin Karkonoskich Euroregionu Nysa.



Obozowisko w Sokolikach jest doskonałą bazą noclegową dla wspinaczy indywidualnych i grup kursowych. Niestety, w związku z bałaganem jaki tam panował, wiele osób i kursów przeniosło się na inne obozowiska lub do kwater prywatnych w Trzcińsku. Zamiarem SKW i całego środowiska jest aby wspinacze znowu wrócili na stary „tabor”. Planuje się znaczne podniesienie standardu: wykonanie nowych podestów, doprowadzenie wody i prądu, wybudowanie sanitariatów. Od wiosny obozowiska będzie pilnował stały pracownik.

Obecnie Zarząd SKW we współpracy z Wrocławem pracują nad imprezą promującą ten rejon wspinaczkowy o nazwie Spotkania Integracyjne Środowisk Wspinaczkowych Polski, Czech i Niemiec, która ma się odbyć w końcu maja 1998 roku.

(a)



SZKOŁA WSPINACZKOWA



DOZENT

Szkolenie:

Skałkowe (wg programu Polskiego Związku Alpinizmu) tatrzańskie letnie i tatrzańskie zimowe

Kontakt:

Wojciech T. Wajda „Dozent”
pl. Grunwaldzki 17/46
50-378 Wrocław
tel./fax (071) 328-22-42

T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 542-85-92

Kolegium redakcyjne:

Rafał Kardaś, Andrzej Kłos, Wojciech Świącicki
Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Korekta: Małgorzata Cwinarowicz

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-87-85

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty na komputerze, o przekazywanie ich w formie dyskietek (zwracamy) w programie TAG, Page Maker, Word For Windows, Ami PRO

CONTENTS

- 1 - Devil's rollercoaster
- 3 - Cassis '97
- 6 - A rock and a hard place
- 10 - Training period in caves rescue
- 13 - Tatry – Wyspiański's anathema
- 23 - Crampons
- 26 - Winter's laboratory
- 28 - Unknown sign of sling knot
- 30 - New ways
- 32 - „Collusion of silence”
- 33 - Caves and speleology
- 36 - From Tatras and Zakopane

ALPINIZM - TURYSTYKA

*Polecamy
w szerokim zakresie:*

- ❖ Sprzęt alpinistyczny i turystyczny
- ❖ Literaturę górską
- ❖ Obuwie turystyczne
- ❖ Odzież z tkanin POLAR, GORE-TEX, HighTech MICRO

*Instruktaż i szkolenie w zakresie technik alpinistycznych.
Sklepy prowadzą alpinisci i grotolazi*

Wrocław: ul. Czysta 7 (za DT Centrum)
tel. (071) 72-58-38

 **alpinus**

SKLEP FIRMOWY
ul. K. Szajnochy (róg Gepperta)
tel. (071) 72-36-31

**CAVE
SPORT**



Zapraszamy

Dla stałych klientów niższe